CZWARTEK
Nr 17 85-02-07 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW





... stoją teraz w takich kolejkach, żeby się najeździć przed powrotem do domu. Ale i w mieście można użyć „białego szaleństwa". O tym opowiada fotoreportaż wewnątrz numeru. Fot. W. Wróblewski



SPOTKANIE 54 TYSIĘCY WARSZAWSKICH HARCERZY

... Oczywiście nie wszystkich, lecz 150 ich przedstawicieli, którzy wzięli udział w IX Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej Stołecznej Chorągwi ZHP. Taka konferencja, odbywająca się raz na cztery lata, jest najwyższą władzą chorągwi. Jej uczestnicy dyskutują nad tym, co już zrobiono i co jeszcze trzeba zrobić, aby nasza organizacja była coraz lepsza, by dawała zadowolenie zuchom, harcerzom i instruktorom a w społeczeństwie pozyskiwała szacunek i sympatię, jednała nowych sojuszników dla zawsze przecież młodego i żywego, mimo że obchodzącego 75 urodziny - ruchu.

Jak powiedział naczelnik ZHP, dr hm PL Ryszard Wosiński, stołeczne harcerstwo ma szczególne znaczenie w Związku dlatego właśnie, że jest stołeczne, a tym samym jakby na świeczniku. To tutaj w dużej mierze kształtują się opinie o harcerstwie w ogóle.

Konferencje chorągwiane zamknęły przedostatni etap przygotowań do VIII Zjazdu ZHP. Pod koniec marca zjazdowi delegaci spotkają się w Sali Kongresowej PKiN.

Zanim jednak to nastąpi, wróćmy na salę obrad warszawskich harcerzy. Reprezentowali oni 44 hufce, w tym 7 dzielnicowych, 14 miejskich, 11 miejsko-gminnych i 12 gminnych. Jak więc widać, przymiotnik „stołeczny" jest mylący; obok typowo wielkomiejskich środowisk Mokotowa, Śródmieścia, Pragi są w chorągwi i maleńkie hufce, jak np. z Tarczyna lub Nieporętu, z problemami właściwymi harcerstwu na wsi. Obok najliczniejszego hufca mokotowskiego, skupiającego ponad 5000 osób, jest np. Raszyn z 300 harcerzami.

Co zdziałano przez minione cztery lata? Dużo, ale mniej niż by się chciało. Na listę sukcesów trzeba wpisać to, że w akcjach letnich brało udział od 20 tys. do ponad 23 tys. uczestników, a więc aż 42 procent wszystkich stołecznych zuchów i harcerzy, to jest dwa razy więcej niż na ogół w kraju. Dużą rolę w życiu chorągwi, której patronem są Bohaterowie Warszawy, odgrywało też poznawanie tradycji i podejmowanie pracy dla Miasta Nieujarzmionego, czerpanie z bogactwa kulturowego miasta. Widomym symbolem tego działania było odsłonięcie zbudowanego z harcerskich składek Pomnika Małego Powstańca na Starówce.

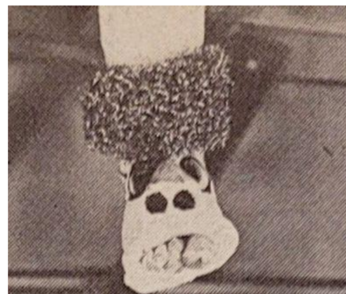
Ale przede wszystkim o sukcesie lub porażce decydowało to, czy drużyny, podstawowe ogniwa Związku, pracowały dobrze. A ponieważ różnie z tym bywało, jedni mogą powiedzieć: dobre cztery lata, inni - takie sobie. Zależy od punktu widzenia.

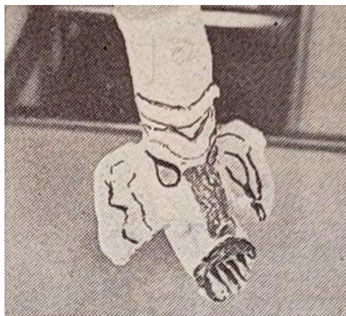
Jaki program uchwalono na najbliższe cztery lata? Najkrócej dałoby się powiedzieć: ambitny. W końcu „stołeczność" zobowiązuje. Uchwała programowa potwierdza samodzielność drużyn, omawia warunki, których wypełnienie samodzielność tę umocni, zwraca się o godne- uczczenie zbliżającej się 75 rocznicy powstania ZHP. Godne - to znaczy takie, które nie ograniczy się tylko do wspominków i gawęd historycznych, lecz nauki płynące z doświadczenia szeregów pokoleń spożytkuje na rzecz harcerskiego „dzisiaj". Uchwała przypomina, że niezmienne pozostają nasze ideały: braterstwo, służba, odwaga w podejmowaniu walki ze złem i proponuje, by te szczytne hasła „przełożyć" na zadania i programy drużyn, szczepów i hufców, tak, by z wielu małych cegiełek służby harcerskiej zbudowano solidny gmach.

Po 22 godzinach nieustannych obrad, trwających do 5 nad ranem, delegaci na chorągwianą konferencję wybrali władze i delegatów na Zjazd. Niestety, tak się złożyło, że we władzach chorągwi zabrakło przedstawicieli najprężniejszych hufców dzielnicowych. Czy będzie to przeszkodą w urzeczywistnieniu zamierzeń, pokaże czas. **(jor)**

Nie życzymy Wam złamania nogi – ale jakby co, to ... „nie łamcie się", uśmiechnijcie się i czym prędzej uweselcie swój gipsowy opatrunek. To jest modne w tym sezonie!

Fot. archiwum







● KONKURS ● KONKURS ●



i oczywiście znaczki „Złotego Szerszenia". Wasza Brzęczysława



Motto: *Wierszomania szerzy się. Zastraszająco szerzy się - zaznaczam.*

POECI!

Minęła okrągła 80 rocznica urodzin Patrona naszej firmy*. Uczcijmy to! Proponuję trzy tematy do wzięcia i do wyboru:

1. Wiersz liryczno-fantastyczny pt. „Spotkanie z mistrzem Ildefonsem"
2. „Liścik z fiołem", czyli proza poetycka na tematy aktualno-horrendalne
3. „Co mi w duszy gra" - czyli temat wolny

Ponieważ dla korespondentów Firmy wszystko to jest fraszką, a nie prawdziwym konkursem, zadanie będzie utrudnione:

a) jeden autor może nadesłać tylko jeden utwór (sami się męczcie z wyborem, he, he),
b) objętość utworu nie może przekraczać dwóch stron zeszytowych,
c) za wiersze o wiośnie przewiduję kary!
d) termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 28 lutego. I ani dnia dłużej! (Na kopercie zaznaczcie: Konkurs Złotego Szerszenia).

Za to:

I. Ogłoszenie wyników i druk najlepszych utworów nastąpi już w numerze z 21 marca.
II. Laureat głównej nagrody będzie miał prawo do zamieszczenia na łamach „Świata Młodych" innych swoich utworów, a także życiorysu ze zdjęciem (na życzenie) oraz będzie mógł napisać artykuł o swoim ulubionym poecie (wcale niekoniecznie o naszym Patronie) i wybrać do druku ulubione jego wiersze.
III. Pozostali nagrodzeni otrzymają książki

POECI DO PIÓR!



*) W samą rocznicę, 23 stycznia, gdy leżałam złożona ciężkim grypskiem, przyfrunął Złoty Szerszeń, zapalił świeczkę i spędziliśmy bardzo wesoły wieczór nad „Listami z fiołkiem" K.I. Gałczyńskiego. Byłam w Siódmym Niebie... i Wam radzę poszukać tam natchnienia!



NADAJĘ CI IMIĘ „RODŁO"

Zielona koperta, zaadresowana znajomym charakterem pisma, na pozór nie zapowiadała niczego nowego. Jej zawartość jednak sprawiła, że Wasz korespondent pojechał na drugi koniec Polski, przez dwa dni znosił wygody i niewygody przedświątecznej podróży - i wcale tego nie żałuje. Wręcz przeciwnie.

Zacznijmy jednak od historii na pewno nie wszystkim znanej.

Działo się to w sierpniu roku 1938. Delegacja Związku Polaków w Niemczech płynęła z Kilonii do Gdyni na Zjazd Społem. Kapitan statku s/s „Pułaski", Stanisław Szworc, wracający wraz ze statkiem z Brazylii do Polski otrzymał od delegacji ZPwN. specjalnie na tę okoliczność uszyty proporzec z Rodłem. Został on uroczyście wciągnięty na maszt „Pułaskiego" dnia 25 sierpnia 1938 r. w Gdyni. Proporzec ten towarzyszył statkowi w podróżach po morzach i oceanach, także i w czasie (po 1939 r.) jego służby w alianckiej marynarce, i doczekał sierpnia 1945 roku, kiedy to Szczecin stał się znów portem polskim.

Proporzec ten wyrażał pragnienia i nadzieje Polaków z Niemiec, nadzieje, że kiedyś będzie pływał po morzach statek noszący imię RODŁO.

Losy proporca nie są do końca wyjaśnione. Kapitan Stanisław Szworc, powstaniec wielkopolski, dowódca s/s „Pułaski" zmarł na Zachodzie w roku 1977. Być może uda się poznać dalsze dzieje pierwszego proporca z Rodłem, jaki pływał na polskim statku. Zaś postać kapitana Szworca znana jest tym wszystkim, którzy czytali książkę A. Fiedlera pt. „Dziękuję ci, kapitanie". Kapitanem, któremu podziękował uratowany rozbitek ze storpedowanego statku, był właśnie Stanisław Szworc.

Od kilku lat zabiegano o nadanie imienia „RODŁO" jednemu z naszych statków. 20 grudnia 1984 r. w szczecińskiej Stoczni im. A. Warskiego odbyło się wodowanie 400-setnego statku. Nadano mu imię „RODŁO". W roku 40 rocznicy powrotu Nadodrza do Macierzy statek noszący to imię wypłynie w swą pierwszą podróż.

* * *

Od samego rana zbierali się w szczecińskim Zamku Książąt Pomorskich działacze spod znaku Rodła. Z dalekiego Bytomia dotarł druh hm PL Franciszek Kachel, kilkudziesięciu innych przyjechało z różnych stron Polski. Były serdeczne powitania i długie rozmowy. Nie brakowało przy tym i momentów zabawnych. Wspominając dawne dzieje mówiono i o Polskim Gimnazjum w Bytomiu. Pan Łemkowski ze sztumskiego, rozmawiając z dh Kachlem przypomina, że jego ojciec uczył się w bytomskim gimnazjum. - No, to pewnie mnie pamięta - mówi dh Kachel - pewnie i cięgi ode mnie oberwał, jak palił... a później dziękował...

Z pięknej Sali Jagiellonki przenieśliśmy się do stoczni. Weszliśmy na teren pochylni „Wulkan". Istotnie, jest tu jak w kuźni starego boga Wulkana; nawet taka uroczystość, jak wodowanie nie przerywa prac przy innych statkach. Sypią się iskry, rozlega się stukanie młotów o olbrzymie płaty blach kadłubowych budujących się statków.

Różne bywają pomniki. Jest pewne, że ten pływający pomnik Rodła będzie pomnikiem wspaniałym. Potężny, długi na 198 m kadłub, pełna automatyzacja, dzieło myśli szczecińskich projektantów i konstruktorów.

Przy statku, na specjalnej platformie stoją już zaproszeni goście. Przemówienia nie trwają długo. Matka chrzestna statku, pani dr Regina Antkowiak, córka znanych działaczy Związku Polaków w Niemczech wypowiada tradycyjną formułę:

„Płyń po morzach i oceanach. Sław dobre imię polskiego marynarza i stoczniowca. Nadaję ci imię RODŁO".

Butelka szampana z trzaskiem uderza o kadłub statku. Na szczęście! Padają komendy:

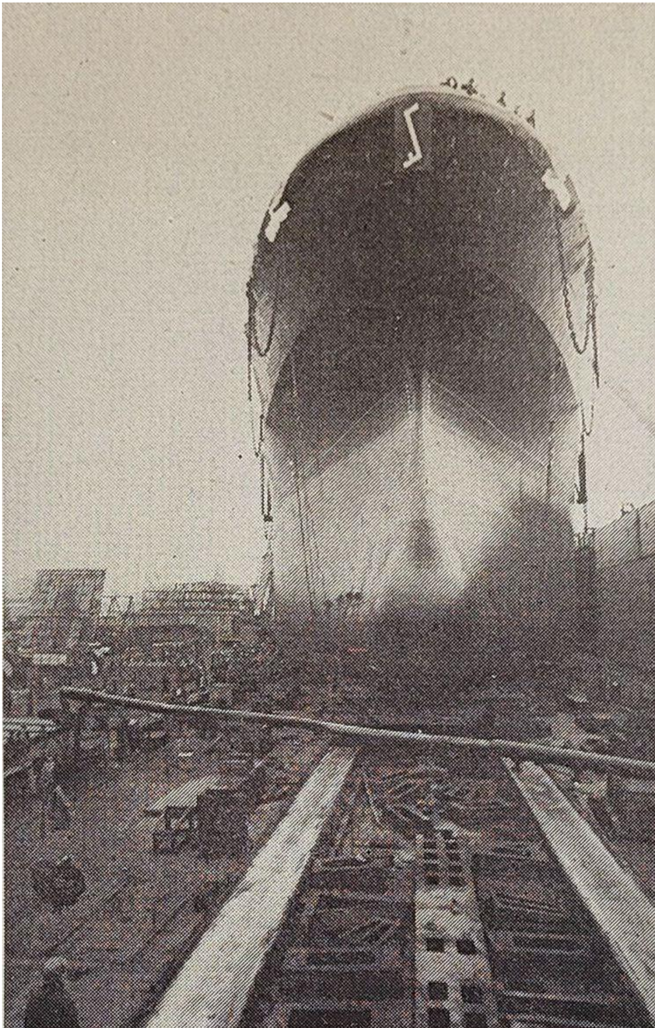
... Odbezpieczyć stopery ciesielskie...

... Odbezpieczyć stopery mechaniczne...

... Zwolnić statek z pochylni.

Matka chrzestna przecina tasiemkę, tę „pępowinę statku", jak mówią stoczniowcy. Statek jakby się zawahał, ale po chwili ruszył, najpierw wolno,, szybciej, jeszcze szybciej. Opadły olbrzymie łańcuchy z burt, rzucono kilka kotwic. Rozległy się dźwięki hymnu państwowego, zahuczały syreny z innych statków.

M/s „RODŁO" spłynął na wodę.



Uradowani stoczniowcy stojący wysoko, na dziobie statku machali wesoło rękami,

Spontanicznie, bez uprzedzenia zaśpiewano pieśń:

I nie ustaniem w walce,
siłę słuszności mamy
i mocą tej słuszności
wytrwamy i wygramy.

I tak zakończyło się wodowanie m/s „Rodło". Latem odbędą się uroczystości z okazji podniesienia bandery.

W budynku Dyrekcji Stoczni odbyło się jeszcze jedno spotkanie. Wasz korespondent, będący po raz pierwszy na takiej uroczystości, notował pilnie co ciekawsze rzeczy, czym zasłużył sobie na miano „redaktora". (Można sobie pożartować, ale dzięki legitymacjl korespondenta HSI udało się uzyskać wiele ciekawych informacji).

Warto jeszcze dodać, że autor słowa „RODŁO", Edmund Osmańczyk, nie mogąc z powodu poważnej choroby wziąć udziału w wodowaniu, nadesłał list z gratulacjami dla stoczniowców, list, który odczytano i na spotkaniu w dyrekcji i przez radiowęzeł stoczni.

Matka chrzestna statku zakończyła swe wystąpienie: „Niech m/s „Rodło" już niedługo co dzień Narodowi służy!"

Jak powiedział dyrektor naczelny stoczni, inż. Stanisław Ozimek, m/s „Rodło" jest nowoczesnym statkiem, przeznaczonym do przewozu ładunków sypkich. Posiada nośność 32 800 ton. Ma pięć ładowni, a jego siłownia jest całkowicie zautomatyzowana. Będzie miał 30 osób załogi. Do jej dyspozycji przeznaczone są pojedyncze kabiny, szpital, separatka, sala gimnastyczna, basen kryty (pod pokładem), sauna, pokój hobbistów, ciemnia fotograficzna, biblioteka. W messie znajdzie się miejsce dla eksponatów uzasadniających imię statku. Będą o to dbać członkowie klubów Rodło. A może i harcerze?

Kierownik wodowania, pan Jan Kurek udzielił wielu jeszcze ciekawych informacji. Oto niektóre z nich: Śruba m/s Rodło waży 12 ton, kotwice zaś po 8 ton. Długość statku wynosi 198 m, szerokość - 24,5 m, zanurzenie -15 m.

Kończy się ostatnie spotkanie. Matka chrzestna otrzymuje kilka upominków, a wśród nich - pamiątkowy toporek i... szyjkę od butelki szampana, tej samej, która rozbiła się o kadłub statku.

Za kilka miesięcy, statek z biało-czerwonym Rodłem na dziobie popłynie w swój pierwszy rejs. Podczas podróży przez Kanał Kiloński zobaczą go ludzie dobrze znający znak Rodła. Polacy zrzeszeni w działającym do dzisiaj Związku Polaków w Niemczech powitają go z radością. Ludzi marzących o powrocie na nasze Ziemie Zachodnie raczej nie ucieszy ten znak i ten statek...

Jacek Chlebda
korespondent HSI „ŚM"
Opole



Cena kłamstw

Chodzę do ósmej klasy. Wszystko zaczęło się rok temu. Nawet jak odrobiłam wszystkie lekcje i posprzątałam, rodzice utrudniali mi wyjście z domu, Zaczęłam więc ich okłamywać. Mówiłam, że wychodzę do koleżanki, a naprawdę umawiałam się z chłopakiem. Niedawno wszystko się wydało. Wiem, że źle postępowałam, jak to naprawić?

Rodzice nie chcą wierzyć w nic co mówię. Straciłam ich zaufanie. Teraz w ogóle nie pozwalają mi opuszczać domu. To jest okropne, a poza tym co powiedzieć chłopakowi? Nie widywać się z nim czy powiedzieć mu prawdę? Boję się, że zerwie ze mną. Czy rodzice muszą wyznaczać mi taką karę? W domu wypełniam swoje obowiązki, uczę słę dobrze, ale jak odzyskać ich zaufanie? Napiszcie co o tym sądzicie. Będę czekać na listy od rówieśników. **Bojka**

OD REDAKCJI: Straciłaś zaufanie rodziców, bo ani Tobie ani Twojemu chłopakowi nie przyszło do głowy, że warto byłoby powiedzieć rodzicom o Waszej przyjaźni. Powinnaś była przedstawić im chłopca. Obeszło by się bez kłamstw, które narobiły tyle szkody. Radzimy naprawić ten błąd i jeśli rzeczywiście zależy Wam na wzajemnej przyjaźni, jak najprędzej przedstawić chłopca rodzicom. Szczera rozmowa we czwórkę to szansa na pokojowe zakończenie tej sprawy. (es)

Świadectwo nas poróżniło

Chodzę do VI klasy. Mam pewien kłopot. Otóż pomiędzy mną a koleżankami z klasy trwa konflikt. Zaczęło się to w piątej klasie, gdy na koniec roku dostałam świadectwo z czerwonym paskiem. Pomijam milczeniem kąśliwe uwagi koleżanek, ale i tak wyśmiewają się ze mnie. Bardzo proszę wszystkie dziewczyny, aby odpisały mi jak wyszły z podobnych kłopotów.

Jolanta

Dobre wychowanie

W drodze do szkoły wstąpiłam do kiosku, żeby kupić „Świat Młodych". W witrynie spostrzegłam „Starą Baśń". O tę książkę poprosiłam sprzedawczynię, a ona zaczęła wykrzykiwać, że jestem niewychowana. Pokazała mi panią, która stała za mną. mówiąc, że ta pani musi zapłacić. Byłam z dwiema koleżankami, jedna z nich zapytała mnie, co powiedziała sprzedawczyni. Zanim zdążyłam jej coś odpowiedzieć, sprzedawczyni zaczęła krzyczeć, że jesteśmy źle wychowane, że rodzice nie uczą nas właściwego zachowania. Pani, która miała zapłacić, potwierdziła to.

Gdy tamta klientka odeszła, ponownie poprosiłam sprzedawczynię, żeby mi pokazała książkę. Krzyknęła, że tu się nie pokazuje, tylko sprzedaje, że tylko źle wychowane dzieci zawsze robią tak jak ja. Po tym wszystkim poprosiłam o „Świat Młodych" i odeszłam. Proszę, niech ten, kto przeczyta mój list, napisze co o tym sądzi. Osobiście uważam, że źle wychowana była ta pani, która sprzedawała, gdyż zaczęła krzyczeć, choć ją grzecznie poprosiłam o książkę.

Marta

OD REDAKCJI: Z Twojej relacji rzeczywiście wynika, że sprzedawczyni była nieuprzejma. Niestety, niektórzy dorośli zachowują się niegrzecznie, w czym oczywiście nie należy ich naśladować. Może jednak gdy sprzedawczyni pokazała Ci panią, która płaciła, trzeba było powiedzieć: „przepraszam, nie zauważyłam". (es)

Dorośli widzą tylko szpanerów

Jest sobota, godzina 14.00. Siadam przed telewizorem, żeby obejrzeć program dla dzieci i młodzieży pod tytułem „5.10.15". Słucham dyskusji na temat współczesnej młodzieży. Słucham i myślę. Wniosek z dyskusji jest taki: „Dzisiejsza młodzież nie ma zainteresowań, wyższych celów, ambicji. Jest nastawiona na branie, a nie umie nic dawać od siebie". Program się kończy. Zamykam się w swoim pokoju i rozmyślam, czy jako reprezentantka młodzieży jestem rzeczywiście taka bezwartościowa? Czy tacy są moi przyjaciele? .

Z zamyślenia wyrywa mnie głos mamy, która przypomina, że miałam iść na zbiórkę kręgu zuchowego. Z przerażeniem spoglądam na zegar, wskakuję w mundur, łapię w pośpiechu rogatywkę i już jestem na ulicy. Wpadam zdyszana do harcówki i, co za ulga: zdążyłam. Grupa około 40 osób - instruktorów zuchowych naszego hufca - siadają w kręgu. Rozpoczynamy rozmowę: co robić w tym roku? Czym ucieszyć nasze zuchy? Sypią się lepsze czy gorsze pomysły. Na chwilę wyłączam się z dyskusji i przyglądam obecnym tu ludziom. Są w różnym wieku od 12 do 24 lat, ale przeważają 15-16-latki. Są zaangażowani w to co robią. Siedzą tu, w harcówce jednego z warszawskich szczepów, w wolną sobotę i z własnej woli myślą jak nieść radość innym. Przypomina mi się dyskusja w'telewizji. Teraz już wiem, co bym powiedziała o młodzieży. Ta młodzież, której tak nie lubią dorośli to tylko część nastolatków. To ci, którzy nie chcą nic robić, za to chcą imponować krzykiem, modnym strojem. Dlatego dorośli zauważają tylko ich. Ale są też inni, tacy jak ci, którzy siedzą tu ze mną i zastanawiają się, jak wychować zuchy, aby nie wyrosły na taką właśnie szpanującą młodzież.

Moje rozmyślania przerywa głos komendantki, Gośki, która intonuje „Bratnie słowo". Śpiewam wraz z nią i myślę: Młodzież jest wspaniała, a już szczególnie ta, która chodzi w szarych mundurach, nosi kolorowe chusty i myśli o tym, by dawać, a nie tylko brać...

Anka z Warszawy

ZWIĄZEK WYGRYWACZY

Ten incydent poruszył mnie do głębi. Przez dłuższy czas chodziłam rozdygotana i wściekła. A było to tak: Zbiórka drużyny.

— No, to co śpiewamy?

Posypały się propozycje. Siedzieliśmy w kącie na korytarzu (harcówka „chwilowo" w remoncie) i byliśmy w najpiękniejszym momencie pewnej sentymentalnej piosenki, gdy:

— „Mogłaś moją być!" — rozdarł się nam nad uchem Jacek.

— Przestań! Nie podoba ci się? Możemy nie śpiewać, nie ma sensu. Pomówimy może o rajdzie. Wiecie, po co jedziemy? — upewniała się Gośka.

— Jak to po co? Żeby wygrać! - krzyknął Jacek bojowo. Spojrzeliśmy na siebie zaniepokojeni.

— Wygrać to możemy przy okazji. Nie zaszkodzi. Jedziemy przede wszystkim po to, żeby się pobawić i czegoś nauczyć.

Żeby wygrać! - upierał się Jacek. Tego było za wiele. Zaczęliśmy pokpiwać.

- To może w ogóle załóżmy „związek wygrywaczy"? Pomalujemy włosy na zielono i będziemy śpiewać przeboje.

- Ja się nauczę wiedzy, Mariola samarytanki, Gośka terenoznawstwa, Heniek zajmie się mapą i busolą. Będziemy jeździć na rajdy i wygrywać!

- Będziemy mieć „sukcesy". Zdobędziemy dużo dyplomów i pucharów.

- Szkoła będzie z nas dumna. My też będziemy z siebie dumni. I będziemy się nazywać „dobrą drużyną harcerską".

- To bardzo ciekawe tak sobie pojeździć, no nie? Wszystko będziemy mieć.

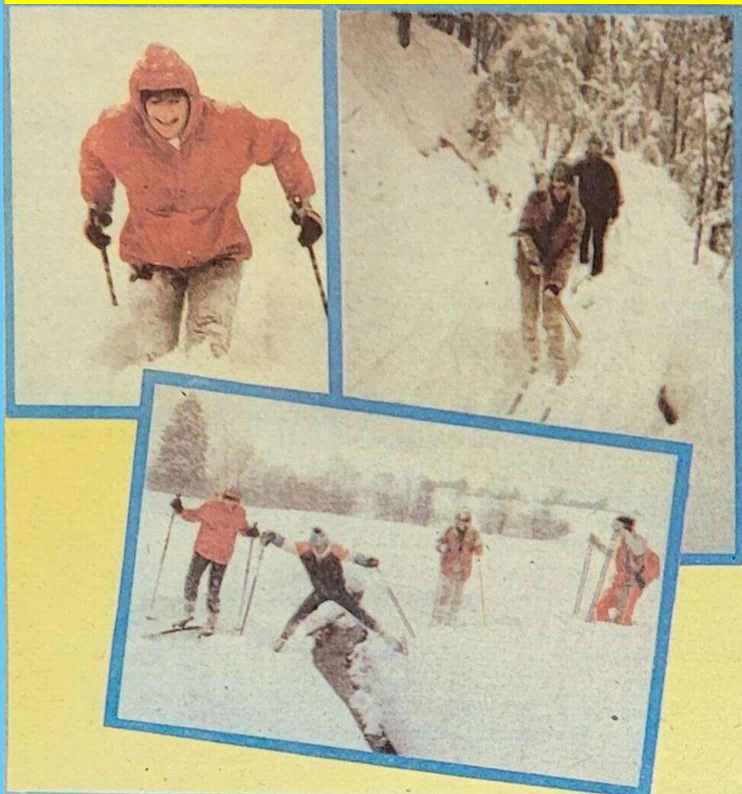
Wyczerpani opuściliśmy ręce. Tak. Wszystko, oprócz szacunku ludzi. I ... czy na pewno będziemy z siebie dumni?

Na Turnieju Drużyn Sztandarowych zadano nam pytanie: czy uważacie się za dobrą drużynę?

Powiedzieć „nie"? Nie jesteśmy przecież tacy najgorsi. Ale „tak" zabrzmiałoby okropnie zarozumiale. Dlatego milczeliśmy. Teraz upewniłam się, że wtedy nie mogliśmy powiedzieć „tak", bo jeżeli są jeszcze w drużynie osoby, które jeżdżą na rajdy po to tylko żeby wygrać, jeżeli to jest ich cel jedyny i najważniejszy — to coś tu nie tak. Widocznie jeszcze nie wszyscy pojęli, o co w tym harcerstwie chodzi. I to trzeba jak najszybciej wyjaśnić. Musimy się (koniecznie!) rozumieć.

Agnieszka
67 DHSG Barciany
korespondent HSI „ŚM"

TRZYMAJ SIĘ ŚNIEGU!



arciarski tor przeszkód. Narciarstwo nizinne ma coraz więcej zwolenników. Krótko mówiąc „biegówki" stały się modne. Dla ich zwolenników proponujemy dziś tor przeszkód, jest on tak pomyślany, że stanowi jednocześnie wielobój, który pozwoli na wyłonienie najbardziej wszechstronnego narciarza.

Zaczynamy od **WYŚCIGU PŁASKIEGO** na dystansie około 500 m - dla dziewcząt I 000 m - dla chłopców. Po krótkiej przerwie przystępujemy do **PRÓBY SŁALOMOWEJ.** A więc zjazd ze stoku z omijaniem raz z prawej, raz z lewej strony ustawionych patyków. Uzyskane czasy mierzymy zegarkiem z sekundnikiem. Za przewrócenie patyka dodajemy 1 sek. Następnym zadaniem jest **PRZEJAZD PRZEZ BRAMKĘ**. Z trzech kijków robimy bramkę. Zjeżdżający starają się tak przejechać (w przysiadzie), aby nie strącić poprzeczki. Stopniowo obniżamy jej wysokość. Zwycięża ten, komu uda się przejechać pod najniżej zawieszoną poprzeczkę. Nasz wielobój zakończy **BIEG POD GÓRĘ**. Na dany sygnał wszyscy narciarze startują z linii u podnóża górki i starają się osiągnąć jej szczyt.

Za poszczególne lokaty uzyskane przez zawodników w każdej konkurencji przyznajemy następującą ilość punktów: I m - 6 pkt., II-5, III -4, IV-3, V-2 i VI-1 pkt. W wieloboju zwycięża ten, kto zdobył największą liczbę punktów. Narciarski tor przeszkód (dopuszczamy inne przeszkody) może służyć i do rywalizacji drużynowej.

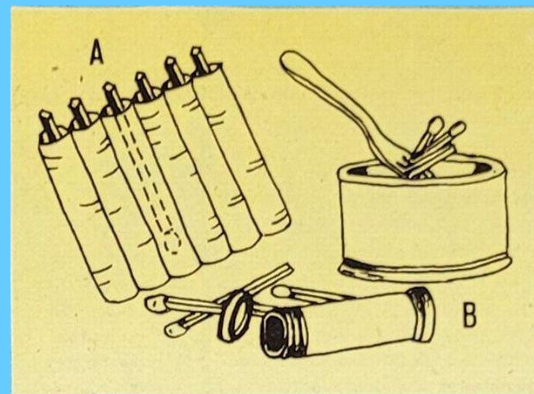
(zp)

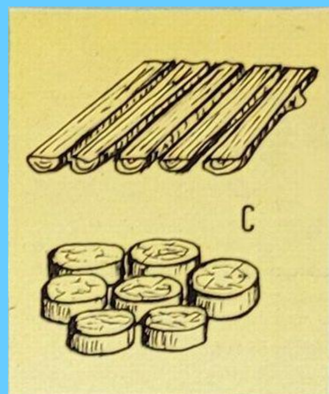
Na traperskiej ścieżce (4)

ZAPAŁKI I OGNISKO



Widziałem nieraz, z jakim trudem doświadczeni nawet traperowicze rozpalają w zimie ognisko. I wynika to wcale nie z braku suchego opału, ale z braku suchych... zapałek. Bo wiadomo, że nienależycie chronione zapałki mogą łatwo zamoknąć, szybko chłoną wilgoć i jeśli taką zapałkę uda się nawet zapalić, to momentalnie zgorzeje tylko sam łepek. Dla zaoszczędzenia Wam kłopotu i... kompromitacji wypróbowałem nienowy zresztą sposób zabezpieczania zapałek w tekturze falistej (rys. A). Wycinamy więc odpowiedni do wielkości zapałek prostokąt falistej tektury (np. z opakowania) i bardzo ostrożnie wciskamy w kolejne przegródki zapałki, łepkami ku dołowi, jak pokazuje rysunek. Mniej więcej 1,5 cm każdej zapałki powinno wystawać na zewnątrz, by można ją było wyciągnąć. Tak przygotowaną tekturę z „ładunkiem" zanurzamy na chwilę w roztopionej w blaszanym pudełku parafinie ze świecy. Czynność te wykonujemy z daleka od ognia. Po wyjęciu, odsączeniu i zastygnięciu parafiny, kładziemy wzdłuż tekturki „draskę" z pudełka od zapałek i całość starannie zawijamy w folię aluminiową, robiąc szczelne złącza. Taki pakiet jest zabezpieczony nawet w wypadku wpadnięcia do wody. Zapałki są zawsze gotowe do użytku. Drugi sposób to „kąpiel parafinowa" luźnych zapałek (rys. B), wyjęcie ich i odsączenie z pomocą starego widelca, a po zupełnym stwardnieniu parafinowej powłoczki włożenie pojedynczych zapałek wraz z paskiem, draski do szczelnie zamykanej (a jeszcze lepiej - zakręcanej) metalowej fiolki.



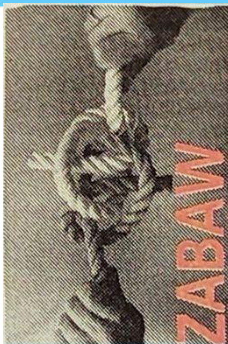


W poprzednim numerze pisałem o śniegowym biwaku. Dziś przypominam jeszcze, że zimowe ognisko najlepiej rozpalać na podłożu kamiennym lub ziemnym, wolnym od śniegu czy lodu, ale jeśli takiego nie ma - ułożyć warto rodzaj rusztu-podkładki z okrąglaków i na takim dopiero suchym podłożu rozpalać ogień z suchych gałęzi, które zawsze można znaleźć u dołu pnia każdego świerku. Dwa sposoby wykonania „podkładek" pod ognisko pokazuję na rys. C.

Dużo ciepła przy zimowych ogniskach!

WAGABUNDA

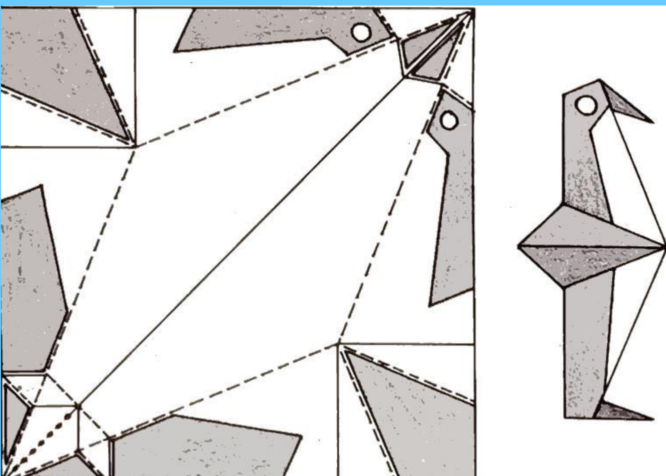
AKADEMIA ZABAW



Profesor Watolini do usług... Dziś w ostatnim spotkaniu tego sezonu uchylę przed Wami poły tajemnicy - pokażę jak zrobić z papieru prawdziwego pingwina. Ostatnio otrzymałem niepokojącą informację, że pingwiny odlatują do ciepłych krajów. Władze Antarktydy przysłały mi zamówienie na sto tysięcy pingwinów. Sam nie dam sobie rady. W pojedynkę nie wyczaruję tylu tych sympatycznych ptaszysk. Potrzebuję Waszej pomocy.

A teraz już czas na zdradzenie sekretu. Pingwin powstaje z jednej kwadratowej, kartki papieru. Kartkę specjalnie wyginam i składam. Nie ujawnię do końca, jak to robię. Na rysunku pokazuję tylko linie, wzdłuż których trzeba wyginać papier. Przerywanymi kreskami oznaczyłem linie, które po wygięciu będą „grzbietami". Linie ciągłe trzeba zagiąć w „rowki". Na odcinku wyróżnionym. kropkami należy papier rozciąć. Powodzenia!

prof. **Watolini**



Śnieżny płatek płynie spod słońca
Jak roziskrzona mała gwiazdka,
Jak posypany cukrem okruch
Słodkiego, weselnego ciasta.

Królować będzie w łanach bieli
Na polach, w lasach, na gór stokach.
Chyba, że przedtem ucałuje
Ciepły zakątek twego oka...

Ryszard Przymus

Z UŚMIECHEM – CIEPLEJ!





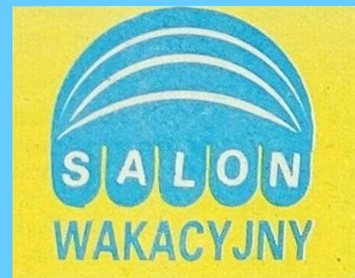


„PAN TADEUSZ" do wygrania!

Kto odpowie na cztery, pytania - weźmie udział w losowaniu. Dzisiaj pytanie czwarte i ostatnie (poprzednie były we wtorkowych i czwartkowym numerze „ŚM"). Odpowiedzi na wszystkie cztery pytania napisz na kartce pocztowej i wyślij. Może właśnie Ty Wylosujesz piękne wydanie „Pana Tadeusza" z ilustracjami... właśnie - i to jest pytanie czwarte: kto jest autorem tych pięknych (i pierwszych) ilustracji do „Pana Tadeusza"? Wszystkie reprodukowane przy pytaniach ilustracje są właśnie jego autorstwa.



LATOŁASZEK ZIMĄ

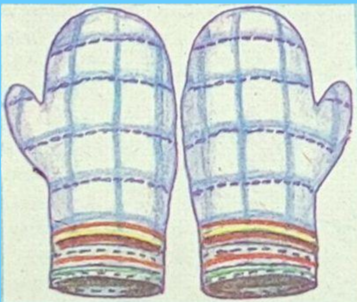


Turystyka zimowa, wszelkie wałęsanie się na przełaj po wertepach, łączy się nieuchronnie z przemoczeniem nóg. Bo albo się śnieg w buty nawbija wpełzając za krawędź cholewki, albo, jeśli but się obroni, przemoczy nogawki spodni. Uratować je mogą tylko **stoptuty** (tak to zabawnie nazywają taternicy) czyli ochraniacze. Nasz salon zrobił się ogromnie monotematyczny. Wszystko, co w tym sezonie proponujemy, ma kształt komina-rury. Stoptuty też. Jest to prostokąt materiału wodoodpornego (ortalion, impregnowany nylon czy stylon, materiał na parasolki albo i impregnowany brezent) zszyty tak by tworzył rurę o szerokości nogawki niezbyt szerokich spodni. Dolny i górny brzeg stoptutów obrębia się, a w obręb wciąga gumkę (do majtek). Stoptuty spełniają dobrze swoje zadanie, jeśli kryją brzeg cholewki buta i sięgają pod kolano. Jeśli rodzaj terenu nie wymaga użycia stoptutów, można je opuścić, fałdując w okolicy kostki.

Stoptuty dobre są również na wiosenne i jesienne włóczęgi. Chronią spodnie przed zroszoną trawą i innym mokrym zielskiem, a także przed błotem.

Warto więc pogrzebać w pawlaczu, albo głębokiej szufladzie, gdzie się chowa rzeczy, które szkoda wyrzucić, bo może się kiedyś do czegoś przydadzą. Dziś właśnie jest to szansa dla starego podartego płaszcza ortalionowego, zniszczonego skafandra itp. Niezłe stoptuty da się zrobić z rękawów takiego płaszcza, nawet zszywać nie trzeba.

A jak już ten płaszcz czy skafander będziecie mieć w ręku, to może i na tę rękę wykroicie z niego jakąś śniegomrozową osłonkę? **Łapawice** to rzecz naprawdę niezbędna w zimowej turystyce i różnych zajęciach na śniegu. Można je skroić tak jak rękawice kuchenne. Wierzch z materiału wodoodpornego, warstwa wewnętrzna z flaneli albo kawałka materiału wełnianego. Szyjemy rękawicę z ortalionu, szyjemy rękawicę z flaneli. Tę z flaneli wkładamy do tej z ortalionu odwracając ją tak, by wszystkie szwy były schowane między warstwami. Na wysokości nadgarstka zszywamy obie warstwy tak, by uformować tunelik na wyciągnięcie gumki. Obrębiamy brzegi. Łapawice powinny być tak duże, by można było w nich zmieścić rękawiczki.



Łatka



Opowiadanie Kingi Karpety, nagrodzone w konkursie literackim Złotą Ostrogą.

PING-PONG

Ping-pong ma ostatnio ogromne wzięcie. Najbardziej pasjonujący sport na świecie i szalenie trzymający w napięciu. Małe reaktory łudząco podobne do piłeczek tej skądinąd ciekawej dyscypliny leżą zamknięte w kasie pancernej jednej z największych metropolii świata. Każdy z nich zdolny jest rozbić całą Ziemię na atomy. Rakietki do tego światowego ping-ponga leżą już na swoich miejscach. Pozostaje tylko pytanie, do kogo będzie należało pierwsze uderzenie. Czekamy na nie z niecierpliwością. Ale nie martwmy się. Zegar pokazuje tylko trzy minuty do pierwszego serwu. Trochę cierpliwości - trzy minuty to wcale nie tak dużo, ani się obejrzymy, a zacznie się ta światowa partia ping-ponga. Będziemy wtedy zapamiętale kibicować, unosząc się lekko na pięknych skrzydełkach nad polem gry, a nasze aureole będą oświetlać malowniczo szczątki tego, co niegdyś było ziemską cywilizacją. Interesująca w swej wymowie radioaktywna chmura pyłu otuli naszą planetę (o ile będzie ona jeszcze istnieć), a opadając po iluś tam miesiącach, malowniczo skazi całą powierzchnię. A my jako śliczne, przejrzyste aniołki będziemy bawić się w tej promieniotwórczej mgle w pochowanego. Świetlane perspektywy.

A tymczasem z napięciem i niecierpliwością czekamy na pierwszy serw i przepychamy się wręcz, żeby być jak najbliżej miejsca, gdzie padną pierwsze piłeczki.

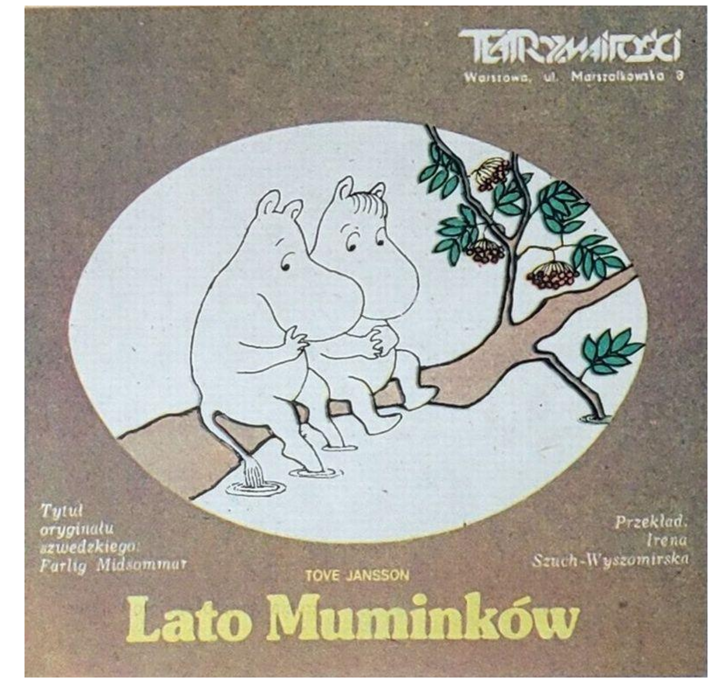
Wydaliśmy już tyle forsy na przygotowania do tej rozgrywki, że nie wypada teraz tego przegapić. Co prawda, trzy czwarte ludzkości jest „na ścisłej diecie", ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Krzewienie kultury fizycznej-to przecież przyszłość narodów. A więc, czekamy na znak do rozpoczęcia gry. Niecierpliwimy się. Publiczność zaczyna tupać na trybunach, słychać gwizdy. Sędzia daje znak...

Kinga Karpeta
(14 lat)

Inwazja Muminków

W grudniu ubiegłego roku, na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie, spotkałam wszystkich swoich przyjaciół, ze Szwecji rodem, a więc: Tatusia, Mamusię i samego Muminka (dlaczego różowych, skoro Muminki były jako białe?), pannę Migotkę z grzywką, małą wiercipiętę - Mi, Bufkę, Włóczykija z organkami, groźnego dozorcę Paszczaka, Emmę i wielu innych. Wraz ze wszystkimi zwierzątkami i całą widownią przeżyłam chwile straszne, gdy podczas upalnego lata wielka fala zatopiła dom Muminków, więc zmuszone były zamieszkać w teatrze. Podziwiałam wspaniałe, choć może odrobinkę zagmatwane przedstawienie pióra_Tatusia Muminka pt. „Narzeczone Iwa", wystawione dla wszystkich zwierzątek. Próbowałam również śpiewać piosenki, lecz prawdopodobnie z powodu fatalnego nagłośnienia (bo nie sądzę, aby była to wina aktorów), teksty słychać było bardzo niewyraźnie. Na koniec wreszcie zawzięcie klaskałam razem z całą widownią, a następnego dnia powędrowałam na spotkanie z Muminkami... do kina, bowiem pierwszego stycznia wszedł na ekrany nowy polski film animowany aż czwórki reżyserów pt. „Szczęśliwe dni Muminków".

Muminków w teatrze już nie zobaczycie, ale film czeka na Was. **(msz)**



Ściągawka z historii

JAŁTA (2)

Przywódcy trzech najważniejszych mocarstw koalicji antyhitlerowskiej: J. Stalin. F.D. Roosevelt i W. Churchill spotkali się w dniach od 4 do 11 lutego 1945 roku w Jałcie na Krymie. Przy omawianiu najważniejszych spraw związanych z budową trwałego pokoju w Europie i na świecie bardzo wiele miejsca poświęcili kwestiom polskim.

Na pierwszym spotkaniu przywódców antyhitlerowskiej koalicji, które odbyło się pod koniec listopada 1943 roku w Teheranie „przyjęto w zasadzie, że siedziba państwa i narodu polskiego winna znajdować się między tak zwaną linią Curzona a linią rzeki Odry z włączeniem w skład Polski Prus Wschodnich i prowincji opolskiej”. Teraz, w Jałcie należało dokładniej określić kształt i przebieg granic powojennej Polski.

Cóż to była owa „linia Curzona", na którą powoływała się Wielka Trójka? By to zrozumieć, musimy cofnąć się wiele lat wstecz, do 1919 roku i przenieść z Jałty do Wersalu, podparyskiej ongiś siedziby królów francuskich. Tam bowiem zwycięskie mocarstwa I wojny światowej, przede wszystkim Francja, W. Brytania i Stany Zjednoczone rysowały wygodny dla siebie kształt świata. Ponieważ dopiero co „wybita na niepodległość" Polska nie miała jeszcze ustalonych i uznanych swych granic, rysowano też i jej granice. Tam, gdzie było to możliwe, granice nowopowstających lub odradzających się po latach państw wytyczano w oparciu o tzw. zasadę etniczną, polegającą na tym, że grani.ce państwowe powinny pokrywać się z historycznymi granicami oddzielającymi obszary zamieszkałe przez poszczególne grupy narodowościowe; zasada ta zmierzała do tego, by państwa były jednonarodowe, to jest zamieszkiwane w zasadzie przez jeden naród.

I tak też w odniesieniu do wschodniej granicy Polski uczyniła komisja ministrów spraw zagranicznych krajów Ententy (czyli koalicji antyniemieckiej w czasie I wojny światowej), działająca pod przewodnictwem brytyjskiego lorda Georga Curzona. Nie będziemy wdawali się w motywy, jakimi kierowała się ta komisja, i zaglądali za jej kulisy, dość, że w sprawie wschodniej granicy Rzeczypospolitej zaproponowała ona, by wschodnia granica Polski a zarazem zachodnia granica Białorusi i Ukrainy, biegła wzdłuż Bugu, a następnie na północ linią łączącą Brześć z Grodnem, to jest wedle owej zasady etnicznej.

Linia ta nie stała się jednak granicą polską. W wyniku złożonych okoliczności wewnętrznych i zewnętrznych doszło w 1919-20 r. do wojny polsko-radzieckiej. Po zmiennych jej kolejach w roku 1921 podpisany został kończący wojnę traktat ryski, który wyznaczał wschodnią granicę daleko na wschód, krojąc niemal na pół Białoruś i Ukrainę. Na obszarze Państwa Polskiego znalazła się bardzo znaczna, ponad 8 milionowa ukraińska, białoruska i litewska mniejszość narodowa. Nie była to granica sprawiedliwa, jątrzyła i tak nie najlepsze i obarczone złym doświadczeniem historycznym stosunki pomiędzy Polakami a jej sąsiadami.

Ustalenie. powojennej granicy polsko-radzieckiej na linii Curzona było więc - w latach II wojny światowej - podstawowym warunkiem ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy Polską i ZSRR. A stosunki te - po latach niechęci i uprzedzeń-musiały być zmienione, właśnie w imię interesu obu państw i ich społeczeństw, o także w imię silnej i pokojowej Europy. Mówił o tym Stalin w rozmowie z francuskim przywódcą, gen. de Gaulle'em:

„...Zanim rozpoczęła się ta wojna, Polska i Rosja były stale w stanie konfliktu. Istniały potemu przyczyny historyczne. Chodzi o to, że Polacy dwukrotnie zdobywali Moskwę, Rosjanie zaś w sto lat później dwukrotnie zajmowali Warszawę. Wszystko to wywarło wpływ na stosunki między Polską a Rosją i pozostawiło osad goryczy. Z historią tą należy skończyć i zakończymy ją. Wojna nauczyła, żę przyjaźń między Polską a Rosja jest rękojmią bezpieczeństwa dla Polski i Rosji. Zrozumiały to nie tylko sfery kierownicze Rosji, ale też najlepsze elementy Polski".

Manifest Lipcowy w sprawie wschodniej granicy Polski głosił te przemyślenia, które już były udziałem znacznej części społeczeństwa polskiego: należy zlikwidować trwający od 400 lat spór pomiędzy Polakami a wschodnimi sąsiadami. *„Konflikty ustępują przyjaźni i współpracy, dyktowanej przez obopólne życiowe interesy. Przyjaźń i bojowa współpraca, zapoczątkowana przez braterstwo Wojska Polskiego z Armią Czerwoną winny przekształcić się w trwały sojusz i sąsiedzkie współdziałanie po wojnie.... Uregulowanie granicy polsko-radzieckiej powinno nastąpić w drodze wzajemnego porozumienia. Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą..."*

W sprawie ustanowienia granicy polsko-radzieckiej według linii Curzona były zgodne też mocarstwa zachodnie. Była o tym mowa w Teheranie i powtórzono to jeszcze raz w Jałcie. *„Szefowie trzech rządów uważają, że wschodnia granica Polski powinna biec wzdłuż linii Curzona z odchyleniami od niej w pewnych rejonach od pięciu do ośmiu kilometrów na korzyść Polski..."*

I granica taka została wytyczona. Jest to dzisiejsza wschodnia granica Polski.

Z rozwiązaniem tym nie godził się - i nigdy nie pogodził - emigracyjny, tzw. londyński rząd polski. Nie mógł liczyć na poparcie ani USA, ani Wielkiej Brytanii, w ogóle nikogo rozsądnego w świecie. Mimo to uzależnił powojenną współpracę z ZSRR od kwestii przywrócenia przedwojennej granicy wschodniej. Upierał się do tego stopnia, że premier Churchill pod koniec 1944 roku porzucił angielską flegmę i dyplomatyczny styl, zwyczajnie wymyślając ówczesnemu premierowi Stanisławowi Mikołajczykowi w takich słowach: *„W swym zacietrzewieniu nie widzi Pan, co się dzieje... chcecie wywołać nową wojnę, która by kosztowała życie 25 milionów ludzi... Jesteście warchołami, którzy chcą zburzyć Europę. Pozostawię Was samych z Waszymi kłopotami... Pana nic nie obchodzi przyszłość Europy, a tylko ma Pan na uwadze swój marny, ciasny, egoistyczny interes... Pana argumenty to tylko zbrodniczy pomysł wywołania rozłamu między sojusznikami za pomocą Waszego liberum veto... Jeśli chcecie pobić Rosję, zostawiamy to Wam. Jest Pan wariatem i należy Pana zamknąć w domu wariatów..."*

istnieje w języku polskim pojęcie „okopów św. Trójcy". Oznacza ono obronę za wszelką cenę przegranej sprawy. W takie „okopy św. Trójcy" schowali się przeciwnicy porozumienia Polski z ZSRR, porozumienia opartego na szerokiej płaszczyźnie przyjaźni, i, jak się mówi w dyplomacji, „obopólnych korzyści". Na szczęście znalazły się w społeczeństwie polskim siły, które potrafiły wprowadzić politykę polską na drogę przymierza z potężnym wschodnim sąsiadem. Były to siły związane z lewicą, z Polską Partią Robotniczą i jej sojusznikami.

A wówczas, na jałtańskiej konferencji bardzo było potrzebne poparcie Związku Radzieckiego, gdy obradujący mężowie stanu rozpoczęli dyskusję nad przyszłą granicą polsko-niemiecką.

Zastajemy ich 7 lutego, podczas sporu o Nysę...

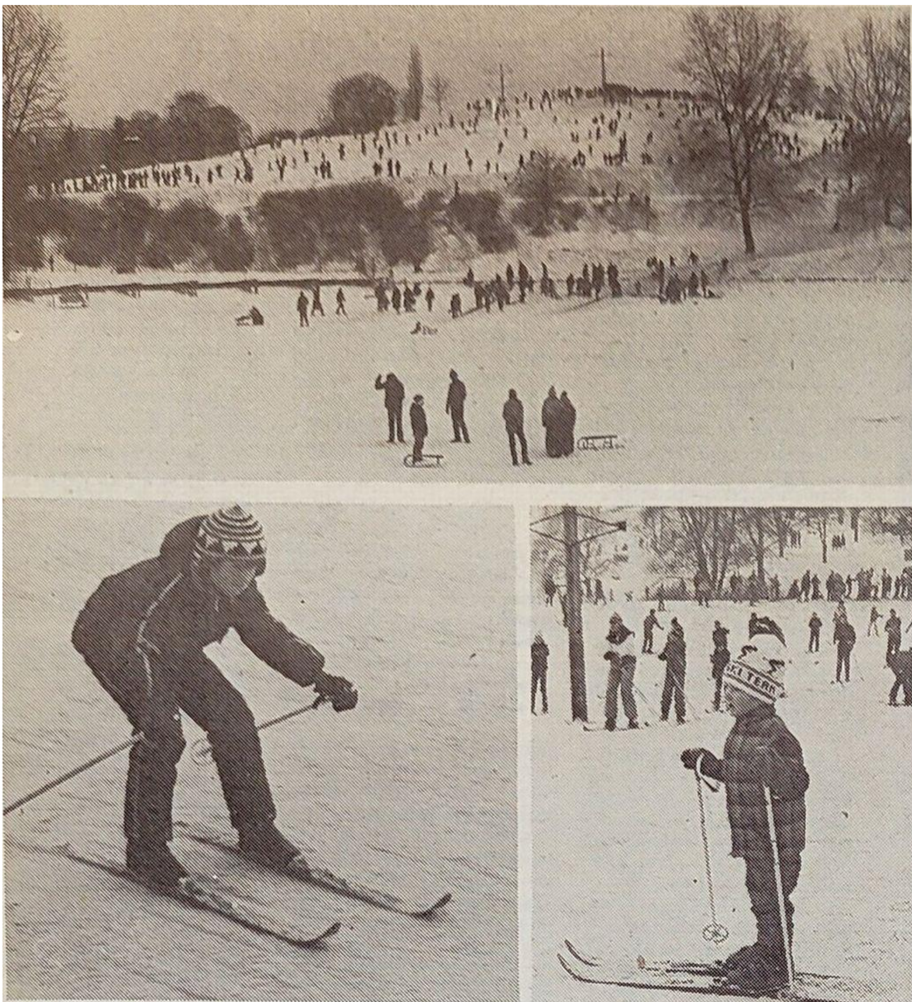
(Ciąg dalszy w następnym numerze)

JAN ORGELBRAND
Fot. archiwum



Prezydent USA - F.D. Roosevelt po przylocie na Krym przyjmował powitanie kompanii honorowej w samochodzie ponieważ z powodu choroby nie mógł chodzić. Wśród witających (na zdjęciu od lewej) był minister spraw zagranicznych ZSRR W. Mołotow i premier W. Brytanii W. Churchill

„Warszawska Gubałówka"



Młodzi i starzy, wytrawni narciarze i dopiero początkujący, całymi rodzinami i każdy z osobna, z sankami, miednicami i innym sprzętnym zjeżdżającym ciągną co niedziela rano do Parku Moczydło w Warszawie na Woli. Funkcjonujący tu wyciąg narciarski oblegany jest przez cały dzień aż do zmierzchu. Każdy chce zażyć trochę aportu, bo przecież sport to zdrowie, **(me)**

Zdjęcia: **MAREK SZYMAŃSKI**



Firmowy bukiet Herbapolu

Szałwii nie ma! Podbiału nie ma! Lipy nie ma! Kolejny klient pyta się o rumianek, co panią za ladą dziwi niepomiernie.

- Ostatnio nie bywa — odpowiada takim tonem, jakby pracowała w sklepie z gwoździami, a nie wzorcowym sklepie Herbapolu.

- Plan produkcji za rok 1984 był wyższy o 30 procent od ubiegłorocznego. Mimo nie sprzyjającej aury skup roślin i owoców leczniczych przebiegał bez zakłóceń - informuje zastępca dyrektora ds. produkcji w pruszkowskim Herbapolu - Małgorzata Ellert.

Dlaczego więc ziół brakuje, nawet na przysłowiowe lekarstwo?

Pani dyrektor widzi trzy główne przyczyny tego niewesołego stanu rzeczy. Po pierwsze ceny rynkowe ziół są za niskie i zdarza się, że cena detaliczna jest niższa od kosztu produkcji, Niektórym hodowcom opłaca się wykupywać ze sklepu siemię lniane lub pokrzywę na... karmę. Drugi powód to niedobór tekturowych opakowań oraz polietylenowych nakrętek do butelek. Zdarza się więc, że gotowe preparaty muszą zalegać magazyny. Powód trzeci to moda na zioła, nie tylko wśród indywidualnych nabywców. Zwiększone zapotrzebowanie na ziołowe specyfiki zgłasza także przemysł farmaceutyczny, kosmetyczny, chemia gospodarcza...

Recepta dla „złamanych"

Wiedza o ziołach i ich stosowaniu sięga w naszym kraju stuleci. Na długo jeszcze przed narodzeniem się przemysłu farmaceutycznego znano wiele roślin, które pełniły rolę leków. Domowe apteczki w chłopskich chatach, szlacheckich dworkach czy pałacach magnatów składały się głównie z ziół. Ich zbieraniem, suszeniem i stosowaniem zajmowały się najczęściej kobiety, a domowa wiedza lekarska przechodziła z matki lub babci na młode pokolenia. Rany leczono przykładając liście babki, przeziębienia - malwą i podbiałem, na rozstrój żołądka używano suszonych borówek, żywokost - jak sama nazwa wskazuje - miał ułatwiać zrastanie się kości.

Nasi przodkowie nie zawsze jednak stosowali właściwy dobór leków. Aż do połowy XVIII wieku zielarze kierowali się zasadą *„similia similibus curantur"*— podobne leczy podobne. I tak ziele kopytnika ze względu na kształt liści stosowano w leczeniu chorób uszu i nerek, dziesięciornik o sercowatych liściach podawano chorym na serce, pokryte naroślami korzenie trędownika pospolitego stosowano w leczeniu brodawek.

Istotną sprawą był także kolor leczniczej rośliny. Przy krwotokach stosowano kwiaty dziurawca, które po rozdarciu wydzielają krwisty sok. Chorobę zwaną różą, charakteryzującą się czerwonymi plamami na cjele chorego, leczono czerwonymi owocami poziomki, a żółtaczkę kwiatami o żółtym zabarwieniu. Nie trzeba chyba dodawać, że skuteczność dobieranych według tego klucza leków była. znikoma lub żadna. Jeśli po zażyciu lekarstwa chory poczuł się lepiej, to tylko dlatego, że stosowano zwykle mieszanki złożone z wielu roślin. W ich składzie znajdowały się więc często zioła, rzeczywiście przeciwdziałające chorobie.

Historia zielarstwa wskazuje jednak, że niejednokrotnie starano się pomóc choremu podając mu lekarstwa, które owszem, były skuteczne, tyle że leczyły zupełnie inną przypadłość. W starym zielniku z początku dziewiętnastego[1] wieku czytamy: *„korzeń marzanny zażywa się do dekoktów (odwarów) dla przełamanych, zerwanych"...*

Należy jednak wątpić czy jakiś „zerwany" odzyskał zdrowie po wypiciu takich ziółek. Współcześnie medycyna stosuje ten specyfik jako znakomity środek przeciw ... kamicy nerkowej!

„Sosna - drzewo leśne znajome"?

Rozkwit chemii w drugiej połowie XIX wieku i pojawienie się leków syntetycznych zmniejszyło nieco zainteresowanie ziołami. Okazuje się jednak, że wiele schorzeń, zwłaszcza przewlekłych leczy się skuteczniej stosując tradycyjne metody prababek niż strzelając od razu z armaty silnie działającymi, a bynajmniej nie obojętnymi dla organizmu lekarstwami otrzymywanymi drogą syntezy chemicznej. Medycyna sięga więc do arsenału ludowych specyfików/ coraz chętniej wprowadzając zioła do praktyki leczniczej. Do tej pory jednak nie wszystkie osiągnięcia ziołolepnictwa zostały docenione i wykorzystane. W cytowanym już starym zielniku pod hasłem: „sosna — drzewo leśne znajome", znajdujemy taki oto przepis: .*„Kora sosny, osobliwie nie świeża z trzecią częścią rabarbary zużyta biegunki zastanawia. Lapporiczycy mielą ją ze zbożem na chleb i dlatego nie znają żadnego rodzaju biegunki".*

Lekarze przez wiele lat sądzili, że kora sosny nie posiada przypisywanych jej dawniej właściwości leczniczych. Rezultaty badań prowadzonych przez 10 lat przez specjalistów warszawskiej Akademii Medycznej, wskazują, że pogląd ten mijał się z prawdą. Dowodem na to jest wyprodukowany niedawno preparat przeciwbiegunkowy o nazwie PINALBINA, w skład którego wchodzi właśnie kora sosnowa. Specyfik ten skutecznie zastąpił dotychczas stosowany lek wytwarzany z dość rzadko obecnie występującej borówki brusznicy.

Fitoterapia zwycięsko przetrwała więc próbę czasu, chociaż wiedza na temat zbierania i stosowania roślin leczniczych w pewnym okresie i na dość krótko wyraźnie podupadła. Mniej niż dawniej jest obecnie aptek rozporządzających pełnym zestawem leków ziołowych. A jednak popularność ziołolecznictwa systematycznie wzrasta.

Przemysł zielarski odpowiadając na rosnące zapotrzebowanie stale zwiększa ilość i asortyment produkcji. W aptekach pojawiają się nowe preparaty ziołowe w formie kropli, stężonych ekstraktów, nalewek na ziołach, maści, mazideł. Od niedawna można kupić także wyciągi z ziół tzw. izolaty i to w najróżniejszych, najdogodniejszych dla używającego formach: tabletek, drażetek, granulek, aerozolów. Jest to rezultat wieloletnich badań prowadzonych przez zaplecze badawcze Herbapolu.

- Proces wytwarzania specyfików ziołowych można podzielić na cztery podstawowe etapy: sortowanie i rozdrabnianie, ekstrakcję - czyli wyodrębnianie z rośliny ciał czynnych, nadawanie właściwej formy lekowi oraz pakowanie. Wszystkie etapy produkcji kontrolowane są laboratoryjnie przez naszych specjalistów - objaśnia Eliza Małdachowska, zastępca głównego technologa w pruszkowskim Herbapolu.

Ta iście aptekarska dokładność w technologii produkcji jest w Herbapolu w pełni uzasadniona. Zawartość w ziołowym specyfiku tzw. ciał czynnych, jak alkoloidy, garbniki, ojejki eteryczne itd. zależy nie tylko od prawidłowo przeprowadzonego zbioru i suszenia. Równie ważną sprawą jest sposób szatkowania, granulowania, krojenia i pakowania surowca zielarskiego. Dopiero wtedy uzyskuje się pełnowartościowe lekarstwo.

W ubiegłym roku zakłady w Pruszkowie wyprodukowały 70 ton aerozolów, 450 ton maści, 400 ton granulatów, 300 ton specyfików płynnych oraz 150 ton kosmetyków. Ogółem wielkość produkcji była 10-krotnie większa niż przed kilku laty. Aż dziw bierze, dlaczego nie widać tego w punktach sprzedaży.

Chlubą zakładu jest produkowana również na eksport fitolizyna oraz najnowszy produkt, preparat przeciwłojotokowy o nazwie SEBOREN. Ma on zastosowanie przy łupieżu, łuszczycy, łojotokowym zapaleniu skóry. Przeprowadzone badania potwierdzają także możliwość odrostu włosów. Inną nowością jest poszukiwana pasta ziołowa FITOVEN przeciw obrzękom i zastoinom. W tym roku pełną parą ma ruszyć produkcja ziołowego dezodorantu „KAJUS".

- W najbliższym czasie planujemy rozbudowę zakładu oraz zakup nowoczesnej linii ALPINE do krojenia, mieszania i proszkowania ziół. Po modernizacji potrzeby rynku powinny być zaspokojone. — obiecuje dyrektor Małgorzata Ellert.

Pozostaje żywić nadzieję, że nie jest to przyrzeczenie bez pokrycia. Amatorzy ziołowej mieszanki — uszy do góry!

JUSTYN OPARA



Laboratorium badawcze Herbapolu może się poszczycić wieloma osiągnięciami Fot. **autora**



Praca przy linii rozlewniczej Fot. **autora**

ROZWIĄZANIE KONKURSU NR 8





Konkurs nr 8 był trochę specjalistyczny i zainteresował tylko tych Czytelników, których pasjonują sprawy projektowania samochodów, a głównie ich nadwozi. Przyznaję, że dla wielu zadanie nie było łatwe, gdyż odtworzenie prawidłowych linii składających się na kształt wymaganego w konkursie rzutu bocznego w-skali 1:20 wymagało przygotowania najpierw szeregu przeliczeń i wyliczeń, następnie naniesienia ich na rysunek i odpowiednie wkomponowanie kształtu nadwozia samochodu właśnie w rzucie z boku.

Jak informowałem w warunkach konkursowych, zadanie to postawiłem dlatego, aby zapoznać Was z wymogami proporcji jakie obowiązują w konstrukcjach aktualnie wytwarzanych samochodów. Wybrałem do tego celu samochód SKODA, gdyż jego proporcje odpowiadają w przybliżeniu współczesnym konstrukcjom i co ważne - jest on sprowadzany do naszego kraju i można osobiście zapoznać się z jego budową i ukształtowaniem bryły nadwozia. Chodziło po prostu o to, by wszystkie elementy kształtu nadwozia były proporcjonalne, a więc żeby odpowiednią wielkość miał przód samochodu i jego tył, odpowiednia była wysokość kabiny pasażerskiej, zderzaki umieszczone były na właściwej wysokości i jednocześnie miały odpowiednią grubość, oraz by do całej tej konstrukcji była dopasowana właściwa wielkość kół.

Jak więc prawidłowo powinno przebiegać tworzenie takiego rysunku rzutu samochodu?

Podawałem następujące dane wielkościowe SKODY 105/120: długość 4200 mm, szerokość 1610 mm, wysokość 1400 mm, rozstaw osi 2400 mm, rozstaw kół przednich 1390 mm, rozstaw kół tylnych 1350 mm, prześwit 170 mm, wymiar ogumienia 13x165.

I właśnie najwięcej kłopotu mieliście z odnalezieniem średnicy zewnętrznej koła SKODY, potrzebnej do prawidłowego sporządzenia rysunku.

Na przekroju koła (rysunek



nr 1) przedstawione zostały wielkości ogumienia dle samochodu SKODA.

166 - szerokość opony podana w milimetrach,

13 - średnica osadzenia opony podana w calach, która w przybliżeniu jest równa średnicy tarczy opony, w miarach metrycznych średnica osadzenia będzie wynosiła 330 milimetrów (1 cal = 25,4 mm), co jest zgodne z następującym wyliczeniem:

13 x 25,4 = 330,2 mm, co po zaokrągleniu = 330 mm.

Jak z rysunku nr 2 wynika, po to by znać średnicę całego koła, powinniśmy wiedzieć jaka jest wysokość opony „h". Przy oponach milimetrowych, a więc tego typu jakie posiada SKODA, wysokość „h" wynosi 80% jej szerokości, lub też jeżeli nie czujemy się mocni w procentach, możemy tę wielkość wyrazić w ułamkach, wynosi ona wówczas 4/5 szerokości.

W naszym konkretnym przypadku wysokość ta będzie wynosiła 108 mm, co jest zaodne z następującym wyliczeniem:

$$135 = 100\% h$$
$$x = 80\% h$$

$$x = \frac{135 \times 80}{100} = \frac{10800}{100} = 108\ mm$$

$$lub\ \frac{5}{5} h = 135,$$

$$\frac{1}{5} h = \frac{135}{5} = 27,$$

$$x = \frac{4}{5} h = 27 \times 4 = 108\ mm$$

Ogólnie możemy powiedzieć, że jeżeli przy danych o szerokości opony nie są zamieszczone inne cyfry, to wysokość jej zazwyczaj wynosi 80% jej szerokości. Jeżeli zaś szerokość opony oznaczona jest w następujący sposób: 135/60, oznacza to, że wysokość opony wynosi tylko 60% jej szerokości. Są to już opony o bardzo niskim przekroju.

Na podstawie tych wyliczeń możemy określić naturalną wielkość koła SKODY, wynosi ona 646 mm i jest zgodna z wyliczeniem przedstawionym dla lepszego zapamiętania i zrozumienia na rysunku nr 3.

Z podanych na wstępie wielkości dla sporządzenia rzutu bocznego samochodu będą nam przydatne dane dotyczące: długości, wysokości, rozstawu osi, prześwitu, średnicy kół.

Zgodnie z przekazanym zadaniem rzut SKODY 105/120 miał być narysowany w skali 1:20, musimy więc te wymiary przeliczyć na tę skalę, czyli po-, dzielić przez 20.

Będą one wynosiły:

	rzeczywista	w skali 1:20
długość - D	**4200 mm**	**210 mm**
wysokość - W	**1400 mm**	**70 mm**
rozstaw osi - RO	**2400 mm**	**120 mm**
prześwit - L	**170 mm**	**8,5 mm**
średnica koła - S	**546 mm**	**27,3 mm**
Możemy też obliczyć średnicę obręczy O, będzie ona wynosiła w przybliżeniu	**330 mm**	**16,5 mm**

W oparciu o te dane rysujemy prostokąt z odpowiednimi liniami. Przedtem jednak musimy na podstawie zdjęć i rysunków samochodu, którymi dysponujemy, lub w oparciu o dokonane pomiary określić w jakiej odległości od przodu będzie zamocowana oś przednieg-o koła. Jest to tzw. zwis przedni - ZP, który wg mojego wyliczenia dla SKODY wynosi 850 mm. Niekiedy wartość tego zwisu, jak również i zwisu tylnego obejmującego odległość od osi tylnego koła do krańcowego elementu tyłu samochodu, podawane są przez wytwórnie w danych wielkościowych samochodu.

Zwis przedni ZP dla skali 1:20 wynosi 850:20 = 42,5 mm

Znając zwis przedni, rozstaw osi i długość samochodu, możemy obliczyć zwis tylny, dla SKODY wynosi on 950 mm, gdyż: ZT = D – ZP + RO czyli:

4200 – 850 + 2400 = 4200 - - 3250 = 950 mm.

Na rysunku nr 4 naniesiono te wyliczone dane. Koła rysujemy przykładając ostrze cyrkla na liniach określających wielkość rozstawu osi RO.

Mając tak wykonaną podstawę rysunku, nanosimy na nią kształty samochodu. Właściwe kształty samochodu SKODA 105/120 przedstawia rysunek nr 5, pochodzący z katalogu fabrycznego firmy SKODA.

A oto kto z biorących udział w konkursie najtrafniej przedstawił rzut boczny samochodu SKODA 105/120:

- **Andrzej RUSAK** z Gdyni,
- **Krzysztof ŁOPOCKI** z Moniatycz,
- **Lesław BICHAJKO** z Jarosławia.

Wymienionym przekazuję odznaki „Motoeksperta Świata Młodych". Wycinanki samochodów rajdowych prześlę w terminie późniejszym, gdyż nie otrzymałem ich jeszcze z drukarni.

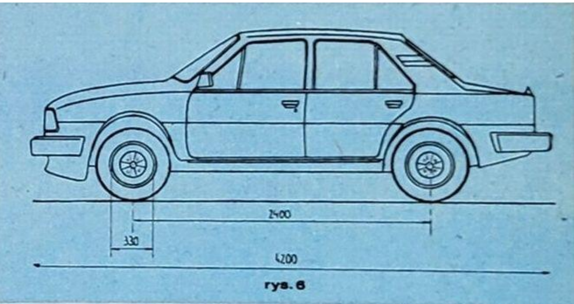
Na rysunku 6 przedstawiam rysunek SKODY, którego autorem jest ANDRZEJ RUSAK.

Stwierdzam, że wielu uczestników konkursu skopiowało-odrysowało po prostu z czasopism czy instrukcji fabrycznych rzuty tego samochodu w takiej skali, w jakiej były tam przedstawione, a przecież nie o to chodziło.

Na załączonych zdjęciach jeszcze raz zostały pokazane sylwetki samochodów SKODA 105/120 w nieco innych ujęciach.

ZENON DUTKIEWICZ

165mm
h
13cali
rys.1
rys. 2
h = 108mm
13cali = 330mm
h = 108mm
rys. 3
razem 546mm
rys.4
rys.5



Zielono mi (70)

CO DOLEGA ROŚLINOM?

MĄCZNIAK JABŁONI

W odcinku 67 „Zielono mi" opisaliśmy groźną chorobę jabłoni zwaną parchem jabłoni. Choroba ta jest kłopotliwa do zwalczania, toteż w ogródkach poleca się uprawiać odmiany jabłoni odporne na parcha. Wymienię je jeszcze raz: **Prima, Priscilla, Priam, Liberty, James Grieve, Wealthy, George Cave, Prince Albert, Delikates, Spartan, Jonatan, Golden Delicious i Idared.** Niektóre z wymienionych odmian, a także wiele innych tutaj nie wymienionych, jak popularne: **Landsberska, Boiken, Bankroft** zapadają'na inną groźną chorobę zwaną mączniakiem jabłoni. Mączniak jabłoni czyni duże spustoszenia w ogródkach. Można temu zapobiec sposobem domowym, bez uciekania się do opryskiwania środkami chemicznymi.

Mączniak jabłoni jest powodowany przez grzyb, który po łacinie nazywa się *Podosphaera leucotricha. Poraża* on liście, pędy, kwiaty i owoce. Najbardziej widoczne objawy chęroby znajdujemy na liściach. Liście na wierzchołkach pędów są niedorozwinięte, szarawe, pokryte obficie białym, mączystym nalotem. Porażone pędy przestają rosnąć. Kwiaty są drobne, zniekształcone, a szypułki kwiatów również pokryte nalotem. Wskutek porażenia liści, wierzchołków pędów i kwiatów, drzewa nie rosną i wydają bardzo mizerne plony. Niekiedy grzyb rozwija się także na owocach jabłek, co objawia się ordzawieniem. Po opadnięciu liści, porażone pędy są srebrno-szare, mają niedorozwinięte pąki i wyraźnie odcinają się od pędów zdrowych.

Grzyb wywołujący chorobę zimuje w pąkach na porażonych pędach. Gdy pąki pękają na wiosnę i rozwijają się, grzyb wytwarza zarodniki, które rozprzestrzeniają się na liście zdrowe też w sprzyjających warunkach mączniak może opanować całe drzewo. W przeciwieństwie do parcha jabłoniowego, który zakaża liście tylko w czasie deszczu, mączniak jabłoni może się rozwijać w każdych warunkach. Wystarczy wyższa wilgotność powietrza, aby zarodniki grzyba wykiełkowały na liściach.

Mączniaka jabłoni można wytępić niemal całkowicie przez wycinanie porażonych pędów. Już niedługo zacznie się zimowe i wiosenne cięcie drzew owocowych. Jeśli będziemy ciąć jabłonie, warto się przyjrzeć uważnie młodym pędom. Na pewno na wierzchołkach wielu z nich dostrzeżemy niedorozwinięte pąki osadzone bardzo blisko siebie i szary nalot. Pędy te trzeba przyciąć aż do zdrowej części. Pierwsze objawy aktywnie rozwijającego się grzyba dostrzeżemy w okresie kwitnienia na pędach i rozetkach kwiatowych, które pokrywają się wówczas mączystym nalotem. W tym czasie, a także i później, w okresie lata, pora-. żonę pędy trzeba wycinać i palić lub zakopać w ziemi. Regularne wycinanie pędów porażonych w odstępach co tydzień lub dwa, pozwala opanować chorobę i utrzymać drzewa w dobrej kondycji.

Oprócz wycinania porażonych pędów można zwalczać mączniaka za pomocą opryskiwania preparatem chemicznym o nazwie **Rubigan**, który wyniszcza nie tylko mączniaka lecz także parcha jabłoni oraz kilka innych chorób grzybowych powodujących gnicie owoców. Rubigan jest środkiem mało toksycznym dla człowieka i dlatego został on udostępniony działkowiczom i innym ogrodnikom amatorom. Jest sprzedawany w małych opakowaniach zawierających 100 cm^3 preparatu. Rubiganem można opryskiwać jabłonie kilkakrotnie, poczynając od początku czerwca, najlepiej wkrótce po przejściu obfitych deszczów. Preparat stosuje się w stężeniu 0,05% czyli 5 cm^3 na 10l wody.

Jeśli podejmujemy zwalczanie parcha i mączniaka jabłoni, a przy okazji i innych chorób jabłoni, możemy z każdej jabłoni zebrać dwukrotnie więcej owoców i to owoców naprawdę pięknych.

AUGUSTYN MIKA



▶ *Porażony przez mączniaka jabłoni wierzchołek pędu został wstrzymany w rozwoju i zamiera*

UWAGA!
warszawiacy – młodzi hodowcy i miłośnicy ptaków!

Od pewnego czasu przy Klubie Osiedlowym „Wilanów" działa zorganizowany specjalnie dla młodzieży Klub Miłośników Ptaków. Organizatorem i opiekunem Klubu jest pan Krzysztof Wilczewski, członek Polskiego Związku Hodowców Kanarków I Ptaków Egzotycznych, znany hodowca wielu gatunków ptaków, zajmujący się m. In. bastardyzacją (tzn. krzyżowaniem różnych gatunków).

Na spotkaniach, które odbywają się w każdy piątek od godziny 17.30 do 18.30 możecie dowiedzieć sią wielu ciekawych rzeczy o biologii ptaków. Dla hodowców prowadzone są prelekcje i poradnictwo fachowe, natomiast obserwatorzy terenowi mają okazją wymienić doświadczenia.

Gorąco zachęcam do udziału w spotkaniach. Poznacie wielu ciekawych ludzi i dowiecie sią trochą więcej o ptakach.

Do zobaczenia w piątek o godz. 17.30 w Osiedlowym Klubie „Wilanów" przy ulicy Sobieskiego nr 18 w Warszawie!

ANDRZEJ KRUSZEWICZ

UŚMIECH NUMERU

DZWONEK. PANI Mądralowa otwiera drzwi, przed którymi stoi człowiek z wiaderkiem.

- Czy to pani zamawiała mycie okien?
- Tak, tak! — cieszy sią pani Mądralowa. - Może pan od razu zaczynać!

Po kilku minutach znów dzwoni do drzwi człowiek z wiadrem.

- Przecież pana kolega już od kilku minut... - mówi zdziwiona gospodyni.
- Nie! - przerywa jej skrzywiony sprzątacz. - To jestem ja, tylko przed chwilą wypadłem przez okno!

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 17 (3947)
wychodzi: wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046 PL ISSN 0137-93214

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

ADRES REDAKCJI: ul.Mokotowska 24
00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny) Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY.: Red. Naczelny 21-15-61. Sekr. redakcji 28-25-48.
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynny w godz. 11-15).
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW ,,Prasa-Książka-Ruch'' Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Wydawniczy 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechnowska
Opracowanie techniczne: Jerzy Rusak
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska
Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 274/G. N-24
Nakład 500 000



Autorką projektu odznaki Rzepklubu jest **Monika Tatar**. Zapisują ją do klubu. Konkurs trwa!

REDAGUJE WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Oto anegdotki:

- Pani chyba kocha swój fortepian...
- O, tak! Nad życie!
- To czemu pani go tak męczy?...

*

- Ja wyjdę za mąż z miłości!
- Ja też, jeśli nic lepszego mi się nie trafi...

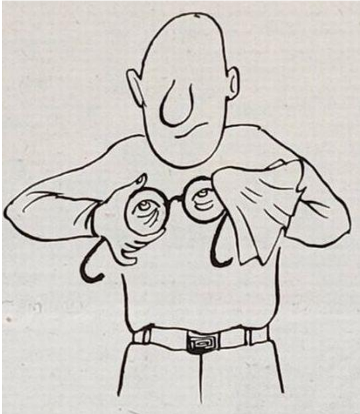
*

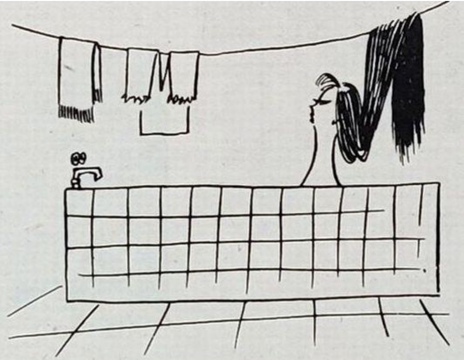
- Mój tata goli się nie wyjmując papierosa z ust.
- A mój obcina paznokcie u nóg nie zdejmując skarpetek!...

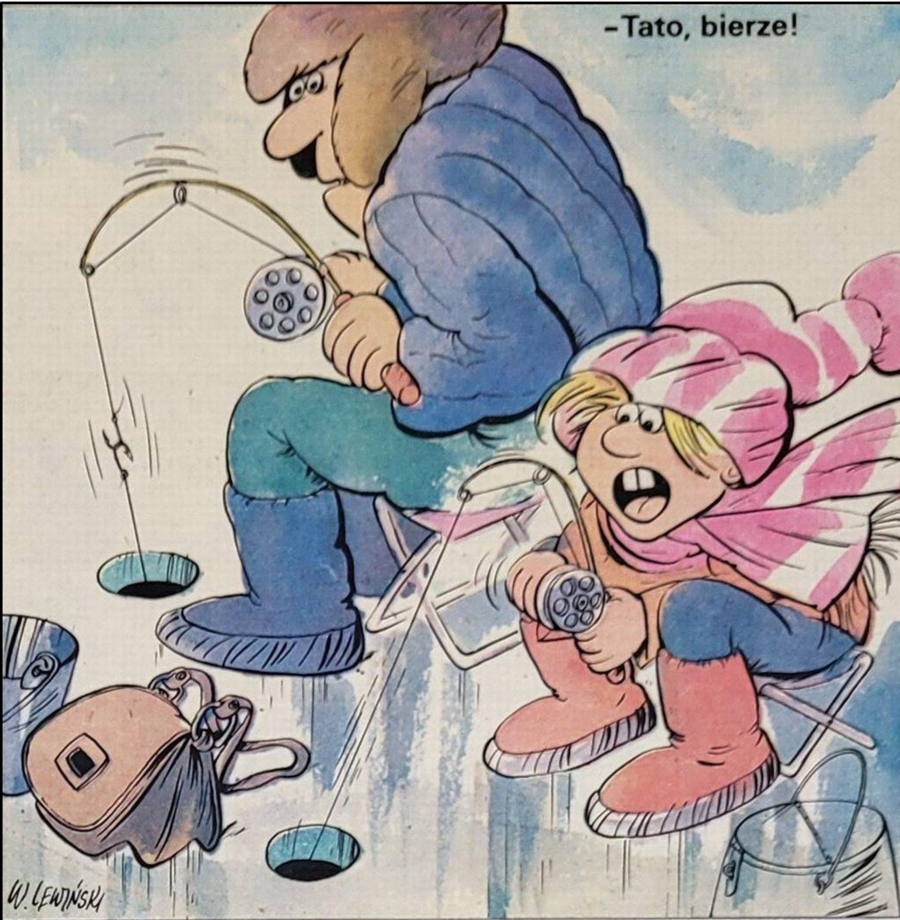
*

Wyszperali: **Marcin Michalewski** i **Darek Łachowski**, których przyjmuję do Rzepklubu.

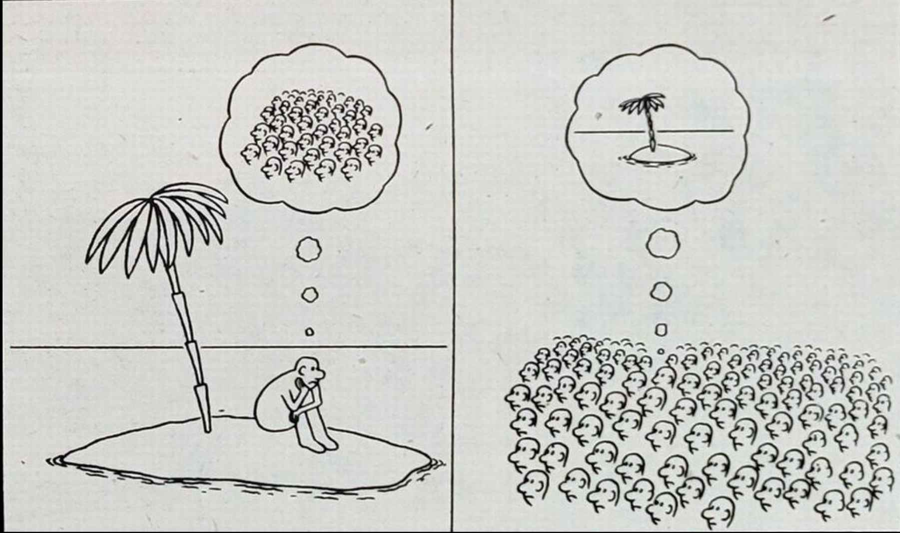
RZEPKLUB
Zamieszczone obok żarty rysunkowe wyszperał **Krzysztof Krawczyk.** Zapisuję go do klubu.











Ogłaszamy mobilizację dla sympatyków pędzla, kredek i... lotnictwa

MALARSKIE NATCHNIENIE I SKRZYDŁA

Znów konkurs! Znów możesz urządzić egzamin swojej fantazji i umiejętnościom plastycznym! Temat konkursu szalenie atrakcyjny - **„Lotnictwo w moich oczach"**.

Twoje prace pomogą uświetnić wielkie święto lotników Pomorza. Od 50 już lat bowiem istnieje w Toruniu Aeroklub Pomorski, a jego członkowie mają na swym koncie znakomite osiągnięcia na polu lotnictwa sportowego.

Nazwiska toruńskich pilotów, skoczków i modelarzy znane są szeroko. Wystarczy przypomnieć chociażby mistrza latania rajdowo-nawigacyjnego - Andrzeja Korzeniowskiego - srebrnego medalistę na Mistrzostwach Świata, znakomitego pilota akrobacyjnego - Józefa Makowskiego, czy rekordzistę świata w modelarstwie rakietowym - Grzegorza Nasierowskiego.

Tradycje toruńskiego lotnictwa zapisane są też na kartach spod znaku biało-czerwonej szachownicy - godła pilotów wojskowych. Zbliża się właśnie 65 rocznica pierwszego startu z tutejszego lotniska, polskiego samolotu. W szeregach 142 eskadry myśliwskiej stacjonującego w Toruniu 4 Pułku Lotniczego odnosił swe pierwsze zwycięstwa najlepszy polski pilot myśliwski, płk. Stanisław Skalski. Tradycje te lotnicy toruńscy godnie kontynuowali pod niebem Anglii w 306 „Toruńskim" dywizjonie nyśliwskim i 301 dywizjonie bombowym „Ziemi Pomorskiej".

Zanim zabierzesz się do pracy konkursowej warto więc poszukać w najbliższej bibliotece informacji o historii i dniu dzisiejszym pomorskich lotników. Na pewno Cię twórczo zainspirują. .

A potem... **Jeśli nie ukończyłeś 19 lat** (bo taki jest warunek uczestnictwa w konkursie) możesz zabierać się do pracy.

Pod adresem: Aeroklub Pomorski, ul. Bielańska 66 (Lotnisko), 87-100 Toruń do dnia 1 maja br. możesz wysłać dowolną liczbę prac, wykonanych dowolną techniką, oczywiście o tematyce zgodnej z hasłem „Lotnictwo w moich oczach", .a jeszcze lepiej związaną tematycznie z lotnictwem na Pomorzu, a zwłaszcza w Toruniu. Praca powinna być co najmniej w formacie A-4. Jak zwykle na jej odwrocie - musisz umieścić swoje dane: **imię i nazwisko, adres, względnie adres placówki plastycznej, jeśli do takowej uczęszczasz, oraz wiek. Należy też pracę zatytułować.**

Wasze dzieła ocenione będą w czterech kategoriach wiekowych. W kategorii A – do 9 lat, B - od 10 do 13 lat, C - od 14 do 16 lat i D - od 17 do 19 lat.

Na zwycięzców czekają bardzo atrakcyjne nagrody. Prócz tego część prac jury wytypuje na pokonkursową wystawę, a wyniki konkursu zostaną opublikowane w prasie.

Prac konkursowych - organizatorzy nie będą zwracać. A uroczyste zakończenie konkursu nastąpi już w połowie czerwca br.

Spróbuj koniecznie swych sił. Niech Twoja wyobraźnia szybuje bez ograniczeń! **(eb)**

dziełami wielkich mistrzów zajmowały się równie łatwo, jak zwyczajne deski.

Róża uczepiona Zelii i i Antosia wykrzyczała całą rozpacz i ból.

Paliły się przecież Tuilerie, jej Tuilerie! Paliła się szwalnia i pracownia hafciarki. Nie ma już błękitnego salonu, nie ma gabinetu cesarza, są tylko mury, sterczące jak skały w morzu ognia.

Gdybyż jej łzy zdolne były ugasić to całopalenie! Płakałaby chyba do śmierci. Wraz z Tuileriami ginął oto jakiś świat, specyficzny i niepowtarzalny i tak piękny! Ginął na zawsze. Już nigdy. Nigdy.

A Tuilerie płonęły. Z trzaskiem zapadających się dachów, wśród huku ognia, na oczach bezradnego tłumu, który patrzył, jak przepadają trzy wieki Historii.

* Kariatyda - w archit. postać kobieca podtrzymująca belkowania, balkon.
** Lukarna (z franc.) - małe okienko pionowe umieszczone w dachu w celu zdobniczym i użytkowym.

KONIEC

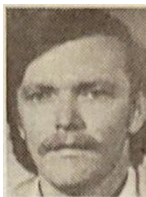
Skrócona dla potrzeb gazety powieść Haliny Popławskiej ukaże się w całości nakładem Wydawnictwa „Iskry"



NAJKRÓTSZA HISTORIA WYNALAZKÓW

13

REWOLUCJA PRZEMYSŁOWA



BOLESŁAW ORŁOWSKI - TEKST *RYSUNKI - TADEUSZ RACZKIEWICZ*

Pierwsze dwa wieki od nastania epoki odrodzenia - którym poświęcono dwa poprzednie rozdziały - były, jak wiemy, okresem wielkich zmagań pomiędzy europejskimi mocarstwami o panowanie nad światem. Początkowo dominowała w nich Hiszpania, która najwcześniej zagarnęła olbrzymie obszary zamorskie, głównie w Ameryce, i niesłychanie się wzbogaciła zwożonymi stamtąd w ogromnych ilościach bogactwami, przede wszystkim złotem. Potem doszło do kilku decydujęcych starć, z których najważniejsze zakończyło się klęską zadaną przez Anglików słynnej hiszpańskiej Wielkiej Armadzie.

Jednocześnie, w życiu społeczeństw europejskich zachodziły - mniej na pozór widoczne, ale jeszcze istotniejsze dla dalszego rozwoju - przemiany. Najkorzystniej i najpełniej przebiegały one w krajach, w których napowszechniej ugruntował się nowy, nowoczesny już sposób myślenia, a więc przede wszystkim tam gdzie znaczącę rolę odgrywali protestanci. W dziedzinie techniki polegały one w pierwszym rzędzie na zainteresowaniu pracą i rzetelnym do niej stosunku. Dostrzegano też i coraz pełniej wykorzystywano możliwości, jakie wynikały dla postępu techniki z rozwoju badań naukowych.

W rezultacie owych wydarzeń politycznych oraz przemian społecznych powstał w XVIII wieku nowy układ sił. Najpotężniejszym i najbardziej zasobnym mocarstwem stała się Francja, a drugie miejsce zajmowała ustępujęca jej dość wyraźnie pod wieloma względami Anglia. A jednak istniały ważne powody, dla których właśnie w Anglii, a nie we Francji, doszło wówczas do przemian, które nazywamy rewolucją przemysłową. Narodził się tam nowoczesny przemysł i powstały zaczętki nowego, znacznie doskonalszego systemu gospodarczego - kapitalizmu.

Złożyło się na to kilka przyczyn. W Anglii wcześnie zniesiono poddaństwo i chłopi nie byli już zobowiązani do dożywotnich świadczeń na rzecz panów feudalnych. Ale nie mieli własnej ziemi, a tylko ich część mogła znaleźć pracę w wielkich majątkach - stosujących płodozmian i korzystających z udoskonalonych narzędzi, a nawet pierwszych maszyn rolniczych - a więc obywających się z powodzeniem stosunkowo niewielką liczbą robotników rolnych. Powstała zatem na wsi poważna nadwyżka siły roboczej, nie mającej środków utrzymania. Ludziom tym dosłownie groziła klęska głodu, gotowi

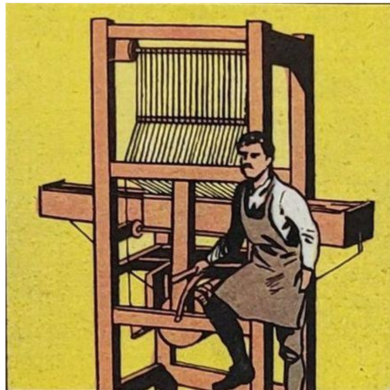


więc byli przyjąć każde zajęcie - także w mieście - po prostu, aby przeżyć.

Równocześnie bardzo szybko rozwijały się niektóre dziedziny wytwórczości, mające niemal nieograniczone rynki zbytu w zamorskich koloniach - przede wszystkim włókiennictwo, a także hutnictwo i związane z nim górnictwo. Sprzyjała temu rozwojowi przemysłu polityka władz, przychylnych wolnej konkurencji. Ludzię bogaci chętnie lokowali w nim kapitały, gdyż przynosiło to im duże i pewne zyski.

Produkcja włókiennicza w tym okresie opierała się początkowo na chałupniczej pracy licznych przędzalników i tkaczy. Do wzmożenia jej wydajności można było dążyć przede wszystkim poprzez usprawnienia organizacyjne. Doszło niebawem do tego, że zgromadzano owych fachowców pod jednym dachem, w zakładach zwanych manufakturami (czyli rękodzielniami), gdzie łatwiej było kierować ich pracą, kontrolować jej rezultaty i zmuszać ludzi do najwyższego wysiłku. Nie była to jeszcze fabryka w dzisiejszym rozumieniu, przede wszystkim dlatego że nie stosowano w niej maszyn; jej personel stanowili wyłącznie rękodzielnicy.

Nieustanne dążenie do zwiększenia produkcji tkanin sprzyjało wynalazczości. Pierwszym ważnym krokiem naprzód w tej dziedzinie było mechaniczne czółenko tkackie, wprowadzone w 1733 roku przez Johna Kaya. Pozwoliło ono na podwojenie wydajności pracy i umożliwiło wyrób tkanin o większej szerokości. Nowość ta upowszechniła się w ciągu paru dziesięcioleci.



KROSNO MECHANICZNE CARTWRIGHTA

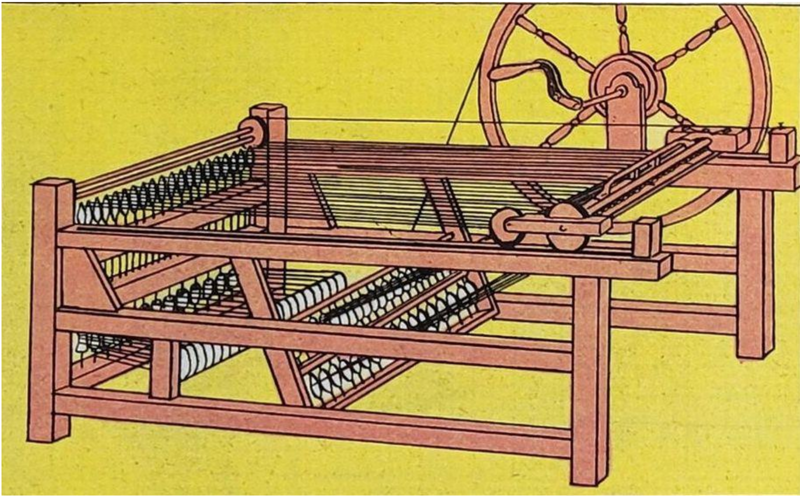
Przyśpieszenie procesu tkania wzmogło zapotrzebowanie na przędzę, któremu nie mogli podołać wytwarzający ją rękodzielnicy. A ponieważ, jak wiemy, potrzeba jest matką wynalazków - w latach sześćdziesiątych XVIII wieku pojawiły się pierwsze przędzarki mechaniczne. Ich twórcami byli tkacz James Hargreaves i fryzjer Richard Arkwright. Druga z nich była już maszyną o pracy ciągłej, napędzano ją kołem wodnym lub kieratem. Zalety obu tych przędzarek połączył mechanik Samuel Crompton, konstruując w 1779 roku bardzo wydajną maszynę przędzalniczą, która szybko się upowszechniła,

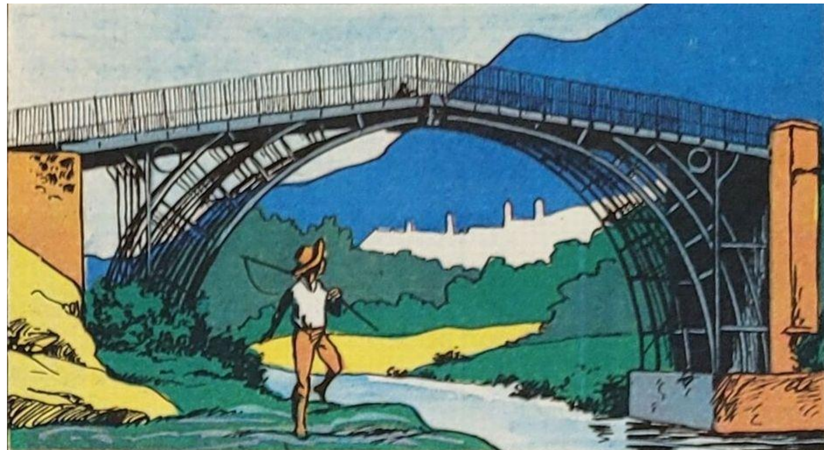
Teraz z kolei tkactwo nie mogło dotrzymać kroku przędzalnictwu. Sytuację uratowało dopiero krosno mechaniczne, wynalezione w 1787 roku przez duchownego Edmunda Cartwrighta, które - po pewnych ulepszeniach - stało się na długi czas jedną z podstawowych maszyn przemysłowych. Ówczesne włókiennictwo angielskie stanowi więc klasyczny przykład działania nowoczesnego mechanizmu rozwojowego, w ktöym wynalazki powstające w jednej dziedzinie niejako wymuszają rodzenie się wynalazków w drugiej, współzależnej z nią dziedzinie.

Wszystkie te maszyny stale doskonalono, starając się przy tym uprościć ich obsługę; Dzięki temu mogli przy nich pracować, po krótkim przeszkoleniu, ludzie zupełnie niewykwalifikowani. Otworzyło to drogę do przemysłu setkom tysięcy „nadliczbowych" chłopów z przeludnionej angielskiej wsi. Można powiedzieć, że rewolucja przemysłowa przyszła w samą porę by uchronić lud angielski od klęski głodu, a państwo od związanych z tego rodzaju katastrofą napięć i zaburzeń.

Najważniejsze wszakże dla dalszego rozwoju techniki przemiany dokonały się w związku z potrzebami hutnictwa żelaza i górnictwa węgla kamiennego. Motorem rozwoju hutnictwa, podobnie jak włókiennictwa, były nieograniczone praktycznie kolonialne rynki zbytu. Również na samych Wyspach Brytyjskich rosło zapotrzebowanie na żelazne narzędzia i konstrukcje, tak z uwagi na ich zalety, jak i po prostu z konieczności, gdyż stosunkowo zaawansowany przemysł (głównie hutniczy) już wcześniej przetrzebił krajowe lasy i dawał się odczuć brak drewna. Już w poprzednim stuleciu podejmowano w Anglii próby stosowania w hutnictwie jako opału koksu z węgla kamiennego. Na pełną skalę zrealizowano to w latach trzydziestych XVIII wieku w przodującym wówczas ośrodku metalurgicznym w Coalbrookdale, w pobliżu Birmingham.

Miejscowość ta stała się w owym stuleciu kolebką i poligonem wielu nowości technicznych. Było to zasługą władającej tamtejszymi zakładami „dynastii" Darbych - ojca, syna i wnuka noszących to samo imię: Abraham - odznaczającej się przedsiębiorczością i przychylnie nastawionej do twórczych pomysłów. Dla rozróżnienia numerujemy owych pionierów, niby królów (od których w rzeczywistości większą odegrali rolę), liczbami rzymskimi. I tak, wspomnianych pierwszych wytopów wielkopiecowych przy użyciu wyłącznie koksu dokonał Abraham Darby I, Natomiast jago wnuk, Abraham Darby III, zasłynął wznosząc w Coalbrookdale, ponad rzeką Severn, pierwszy w dziejach most żelazny (odlany z żeliwa) w 1779 roku. W Anglii dokonano wówczas





wielu jeszcze udoskonaleń procesu hutniczego. W niezwykłym tempie rosła tam w końcu XVIII wieku produkcja żelaza, podwajając się co osiem lat.

W związku ze stale powiększającym się - wobec braku drewna - zapotrzebowaniem na węgiel, już w poprzednim stuleciu górnicy angielscy zmuszeni byli sięgnąć do głębszych jego pokładów. Ale penetracja ta napotkała na przeszkodę nie do przezwyciężenia - doszło bowiem do tego, że nawet pompując dzień i noc tradycyjnymi sposobami nie dawało się uchronić najniższych poziomów kopalń przed zalaniem przez wodę podziemną. Trzeba więc było wymyślić coś nowego, bardziej skutecznego.

Możljwości rozwiązania tego problemu stwarzała energia pary. Chociaż od dawna już zapomniano o turbinie-zabawce Herona, w wieku XVII przeprowadzono rozmaite eksperymenty w tej dziedzinie, na przykład wykorzystano ciśnienie pary do wyrzucania'strumienia wody w fontannie. Pierwszej poważnej próby dokonał jednak dopiero kapitan marynarki Thomas Savery w 1698 roku. Skonstruował on atmosferyczną pompę parową, którą nazwał „przyjacielem górnika''. Stosowano ją w praktyce, ale bez większego powodzenia, gdyż była mało wydajna i mogła podnosić wodę tylko na niewielką, kilkumetrową wysokość.

Pierwsza naprawdę użyteczna maszyna parowa rozpoczęła pracę w 1712 roku. Twórcą jej był ślusarz Thomas Newcomen. Ciśnienie pary powodowało przesuwanie się tłoka w jej cylindrze, w górę i w dół. Ruch ten, za pośrednictwem dźwigni, przekazany był pompie. Maszyna Newcomena spisywała się całkiem dobrze i bardzo szybko znalazła powszechne zastosowanie w górnictwie brytyjskim, a niebawem i w innych krajach. Tego typu była pierwsza maszyna parowa zainstalowana w Polsce, w Tarnowskich Górach, w roku 1788. Jak widać długo korzystano z tego wynalazku.

Kiedy zalety napędu parowego stały się oczywiste, zaczęto przemyśliwać nad wykorzystaniem go do poruszania maszyn w innych działach przemysłu. Nie była to wcale sprawa prosta, wymagała bowiem zamiany posuwistego ruchu tłoka na ruch obrotowy. Po raz pierwszy rozwiązano to w nader prymitywny sposób: maszyna parowa pompowała wodę, ta obracała koło wodne, a ono z kolei nadawało ruch maszynie.

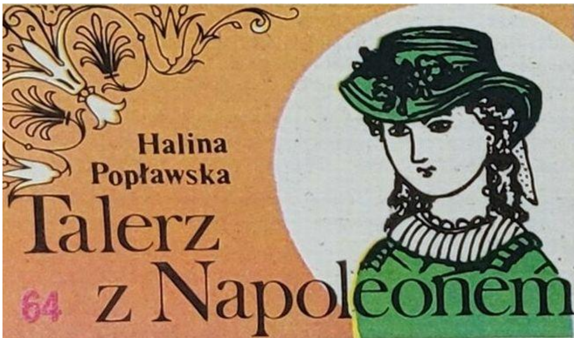
Szerokie użycie energii pary umożliwił dopiero parowy silnik przemysłowy, skonstruowany przez szkockiego mechanika Jamesa Watta. Zainteresował się on tym problemem, naprawiając jedną z maszyn Newcomena, a następnie w latach 1769-1785 wprowadził do niej kilka nadzwyczaj ważnych udoskonaleń podnoszących znacznie jej wydajność, zapewniających równomierny rytm pracy oraz umożliwiających bezpośredni napęd maszyn obrotowych. Do końca XVIII stulecia Watt zbudował około pięciuset takich silników. Około dwustu z nich napędzało pompy w kopalniach, a pozostałe znalazły zastosowanie w innych dziedzinach przemysłu.

Inni brytyjscy konstruktorzy dokonali w tym czasie wielu wynalazków mających istotne znaczenie dla przyszłego rozwoju przemysłu maszynowego. Pojawiły się rozmaite obrabiarki (walcarki, wiertarki, prasy itp.), przy użyciu których można było wytwarzać coraz precyzyjniejsze mechanizmy i urządzenia. Powstały w ten sposób podstawy nowoczesnego przemysłu.

Rewolucja przemysłowa wywarła potężny wpływ na dalsze losy ludzkości. Przyśpieszyła proces pojawiania się wciąż nowych wynalazków, którego tempo daje się nam ostatnio coraz bardziej we znaki. Jednakże, krytykując przesadną - zdaniem wielu - technizację życia, do której doprowadziły następstwa rewolucji przemysłowej, nie można zapominać i o jej pożytecznych skutkach. Możliwości, jakie stworzyła, zaowocowały dobroczynnie w wielu ważnych dziedzinach. Na obszarach objętych jej działaniem liczba ludności powiększyła się w ciągu ostatnich trzech wieków dziesięciokrotnie, a średnia długość życia ludzkiego „skoczyła" z trzydziestu na siedemdziesiąt lat. Nieporównanie wzrósł dobrobyt - dzisiaj na jednego człowieka przypada średnio osiem razy więcej rozmaitych dóbr, niż w czasach poprzedzających rewolucję przemysłową. Zwiększyła się też znacznie ich różnorodność.



PAROWY SILNIK PRZEMYSŁOWY JAMESA WATTA



Adolf Thiers, zdecydowany niegdyś przeciwnik monarchii absolutnej, aresztowany po zamachu stanu Napoleona III, teraz prezydent Republiki, przeniósł rząd z objętego powstaniem Komuny Paryża do Wersalu. Stutysięczna armia pod wodzą marszałka Mac-Mahona ruszyła na stolicę. Dwudziestego pierwszego maja wersalczycy - tak nazywano wojska rządowe - wdarli się do miasta.

Jak niegdyś, w pamiętnych dniach lipca i lutego, wojna domowa wzniosła barykady, rzuciła braci przeciwko sobie.

Róża z największym trudem utrzymywała Antosia w domu. Wyjście na ulicę groziło śmiercią od zabłąkanej kuli.

Jarosław Dąbrowski, dowodzący jedenastym legionem Gwardii Narodowej na Montmartrze, zginął na barykadzie na ulicy Murha.

Straszny tydzień pochłonął tysiące ofiar.

Na koniec w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty maja, największy pożar uderzył w niebo Paryża. To generał Komuny Bergeret, zamknięty w Tuileriach z grupą powstańców, kazał podpalić pałac.

Różę w nocy obudziła jasność. Wcale nie trzeba było zapalać świecy. Antoś już stał przy oknie.

- Tuilerie! - zawołał. - Chyba palą się Tuilerie!
- Tuilerie? Niemożliwe. - Trzęsącymi się rękami zapinała suknię.
- To Tuilerie, Różo. - Zelia już ubrana stała w drzwiach sypialni.
- Tuilerie! Moje Tuilerie!

Wybiegli na ulicę. Wszyscy szli w stronę pożaru. Dym przesłonił na chwilę straszliwy widok.

Palił się Pawilon Flory, płonął jak pochodnia. Całe skrzydło pałacu wzdłuż ulicy Rivoli lizały płomienie. Stojący w ogniu Pawilon de Marsan wyrzucił kłąb czarnego dymu. Wiatr zakręcił żałobnym pióropuszem i przysypał buchające ogniem dachy deszczem iskier. W szeroko otwartych oczach świadków przerażającego widowiska odbijały się blaski pożaru, kreśląc na purpurowym niebie oślepiające arabeski.

We wszystkich oknach jarzyło się światło, jak gdyby zapalono tam tysiące świec w żyrandolach- i kandelabrach na jakąś gigantyczną dworską uroczystość.

- Muzeum! Muzeum Luwru! — krzyknął nagle ktoś z tłumu.
- Ratować Muzeum! — podjęli ludzie. — Ratować Luwr!

Batalion szaserów i konserwator Muzeum, Henryk Barbaret de Jouy, uratowali bezcenne zbiory. Biblioteki jednak nie dało się już ocalić. Siedemdziesiąt tysięcy książek i rękopisów poszło z dymem.

Jaśniej było niż w dzień. Wiatr przynosił żar i swąd spalenizny. Dym owijał posępnym welonem wyniosłe mury, zdające się urągać sile szalejącego żywiołu. Nigdy dotąd żadna iluminacja nie oświetliła tak doskonale pałacu, wydobywając całe jego piękno. Tuilerie widoczne teraz były jak na dłoni. Kto chciał, mógł podziwiać kamienne koronki renesansowego artysty. Rzeźby Jeana Goujona ożyły, płonące kariatydy* skręcały się w męce. Ozdobne lukarny** wypluwały kaskady płomieni.

Ogień pożerał wszystko: białe odrzwia i rzeźbione futryny, złocone meble i wzorzyste posadzki. Perskie dywany, bezcenne gobeliny, koronki i hafty płonęły niczym stare szmaty. Ramy obrazów z arcy-

Dokończenie na str. 7